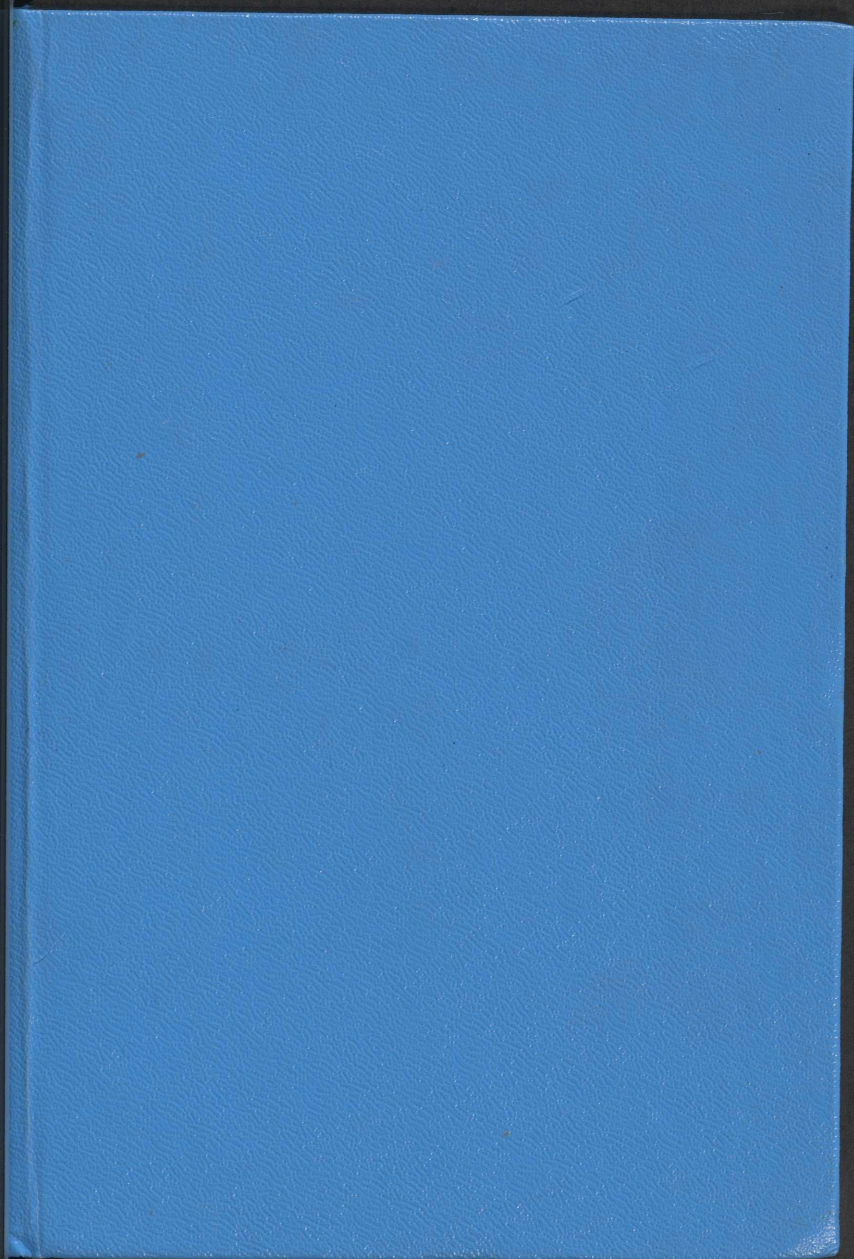




ЛННБ України ім.В.Стефаника



00359458 (Y)

36.

2006p.

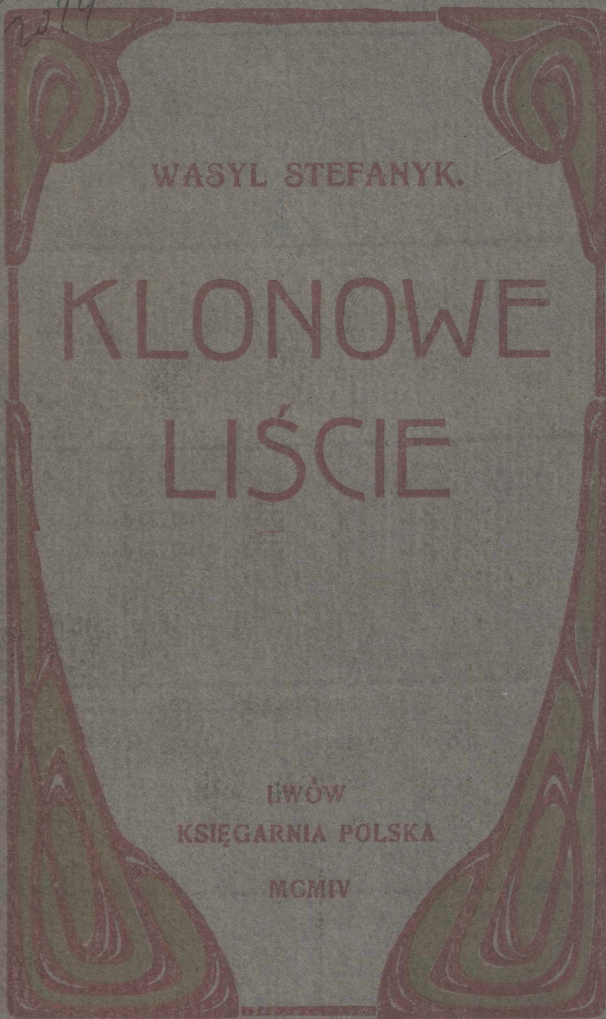
2014

12.

WASYL STEFANYK.

KLONOWE LIŚCIE

ŁWÓW
KSIĘGARNIA POLSKA
MCMIV



113

113 283



Wydawnictwa

Księgarni Polskiej we Lwowie.

Gąsiorowski W. Rapsody Napoleońskie. Zbiór fragmentów historycznych z licznymi portretami i rycinami.

— **Pani Walewska.** Powieść historyczna z epoki Napoleona. 2 tomy.

Irzykowski K. Pałuba. Sny Maryi Dunin. K. 5.50.

Kasprowicz J. Miłość. K. 6.— w oprawie K. 8.—.

— **Moja pieśń wieczorna.** Poematy K. 4.— w oprawie K. 5.—.

— **Salve Regina.** Poematy K. 3.50 w oprawie K. 4.50.





owie.

Zbiór
czynymi

a z c-

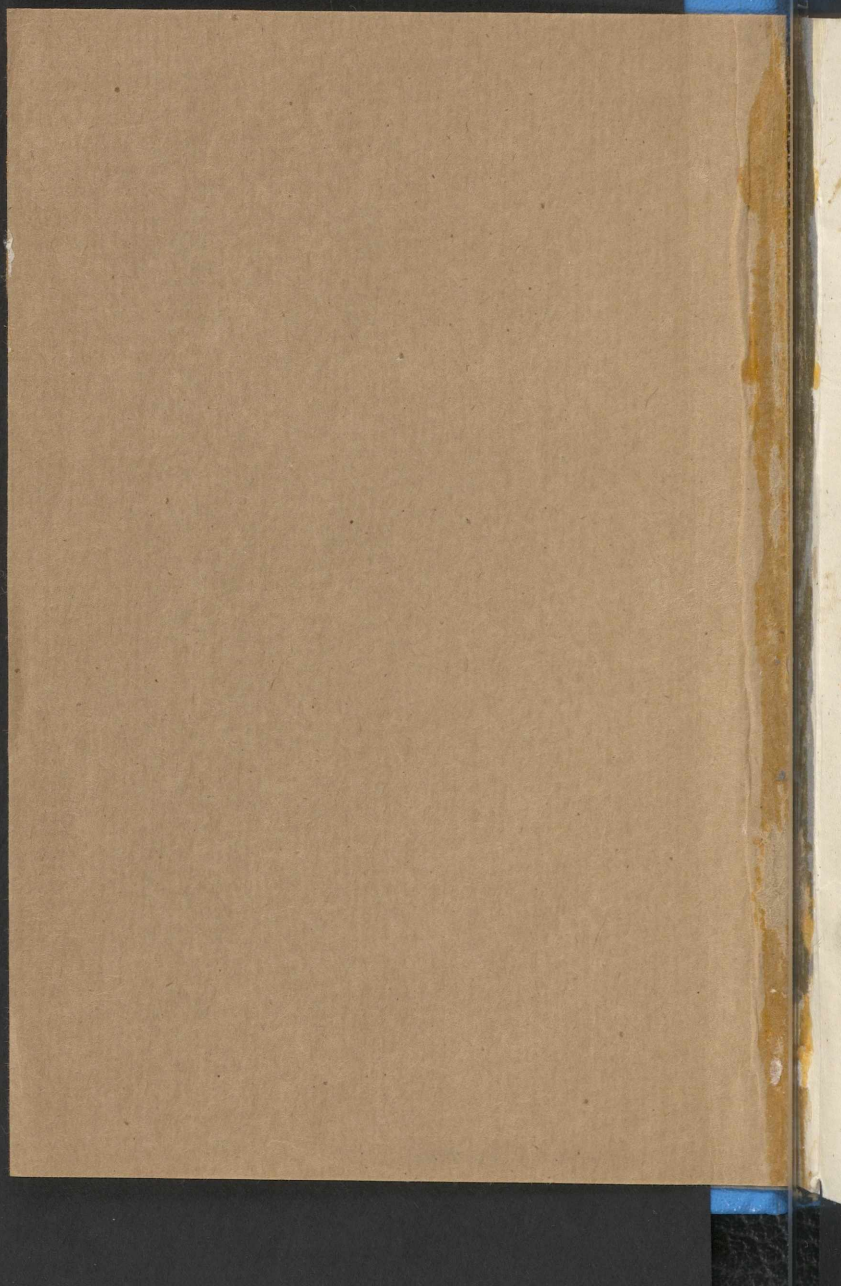
nnin.

rawie

4-

opra-





Biblioteka Zarządu Głównego
Polskiego Towarzystwa Pedagogicznego

Nr. _____

Klonowe liście.

Wydawnictwo Pedagogiczne

z 113.298

Odbito w Drukarni Narodowej w Krakowie.

Wasył Stefanyk.

KLONOWE LIŚCIE

Z ukraińskiego przełożył
Michał Moczulski.

Lwów - - 1904

Księgarnia Polska (B. Połonieckiego),

Warszawa - E. Wende i Sp.

3. ~~113.298~~

1
И. 99251

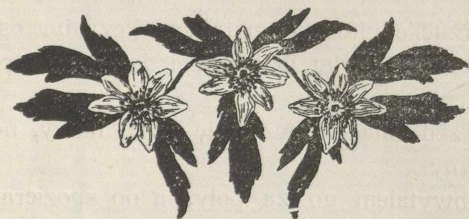
(1072340)

2.00р

ЛВІВСЬКА БІБЛІОТЕКА

АН УРСР

И. И. 99251



SPOWIEDŹ.

Usty białemi, półszepciem, opowiem wam o sobie. W moim głosie nie zadrga ani skarga, ani smutek, ani radość...

Odszedłem od macierzy w białej koszuli, sam biały.

Śmiali się z białej koszuli. Krzywdzili mnie i ranili.

I stąpałem po cichu jak kot biały.

Ten chód dawał mi odczuwać podłość moją i krew ma dziecięca sączyła się z serca mego.

A spałem w najętej chacie między brudnymi cielskami, splecionymi rozpustą.

Listek białej brzozy na śmieciu...

Zrzuciłem koszulę matczyną. Poza mną ostały się: — mój świat dziecięcy i dalekie chłopskie pokolenie.

Przedemną roztoczył się świat nowy, nowy i czarny.

Chwytałem go za poły, a on spozierał na mnie wzgardliwie.

Byłem jak żebrak mały.

Oniemiałem z bólu. I milczałem długie, długie lata.

Moje słowa niedomówione, mój płacz i śmiech nie dobiegły krańca.

Spadłyście na mnie, jak spadają czarne kamienie złamanego krzyża na mogile cudzoziemca!

Znalazłem przyjaciół.

Pogodzili się z moim nowym światem. Rozповідаłem im o porzuconym i o nowym, co nas krzywdzi.

Zarzucali mi kłamstwo.

A jam rwał się, w błoto padałem z niemocy i nie ustępowałem.

Powiedzieli, że m kłamca, — jeszcze raz. I porzucili mnie.

A gdym płakał — mówiła mi macierz ze łzami:

— Bądź sam z sobą, bo pany cię nie przyjmą. Pocóż porzuciłeś mnie?

I ostawiłem się jako krzak głogu wśród pola.

Siedziałem pośród pól.

Moje myśli snuły się długimi skibami płodnej roli. Ssały ziemię i karmiły mnie samotnością.

I jeszcze przynosiły pot słony i ciche pieśni, co biegły za oraczem, za pługiem i poganiaczem. I poiły mnie spokojem, co marzy nad jarzmami wołów u pług.

Widziałem też między pastuszkami maleńkie ogniki i rozpierzchnięte owce w polu.

Tu będę panował jako wiatr bujny, tu śpiewać będę pieśni moje!

Stworzyłem sobie świat własny.

Po prawicy: — sine pola i czarne skiby
i pług biały i pieśń i pot słony.

Po lewicy: — maszyna, co z ust czerwonych
przekleństwo wyrzuca.

A w mojem sercu świat mój, utkany z jedwabiu,
naszywany srebrem białem, nasadzany
perłami.

Jestem w królestwie swoim...

Będę rzeźbił świat mój jako kamień.

Słowo moje będę ostrzył na krzemieniu mej
duszy, i umaczane w ziele jadowitem puszcze
na lewo...

I słowo moje łamać będę na jasne słoneczne
promyki i umaczam je w kielichach kwiatów
i puszcze na prawo.

A mój kamień będę rzeźbić zawsze, zawsze!

Aż położę go na swej mogile jako martwe
piękno.

A wiśnia u wezglowia na kwiat swój weźmie
wszystkie bole moje.

Żyję w swoim świecie, żyję!...

Jak szalony bredzę chmurą mej fantazyi.

Sto razy rozpętnuję siły mej duszy, aby od-
szukały mi szczęścia moje w światach dalekich.

Po cichym stawie mej przeszłości płynię
niewód gorących mych pragnień, aby wyłowić
wszystkie jasne chwile życia mego.

Ale rwie się niewód i nic ułović nie może.

Wracają umęczone siły moje i bez niczego —
jak robotnicy z ładu.

I smutny drzemię na chmurach.

A gdy grom uderzy, znowu głową wybiegam
do nieba.

I lecę, lecę na czarnych chmurach...

Złotą strzałą przerzynam stropy świetlane.

W mych czarnych włosach gwiazdy się gubią
jak w czarnej chmurze.

Chłodne chmury z moich oczu ciepłym desz-
czem spływają na ziemię.

Ale do słońca dotrzeć nie zdołam.

I z błękitów — padam na ziemski padół.

Jak stary żołnierz [o drzewianych nogach
kuleje, tak ja kuleję.

A skoro tylko pogoją się skrzydła — znowu
do słońca wzbijam się, po szczęście.

I znowu błękity przerzynam i upadam...

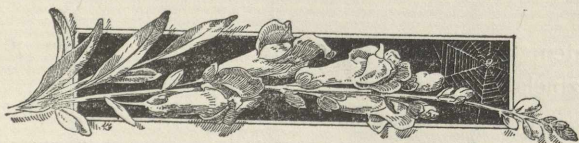
Byłem szczęśliwy...

Gdy dzieckiem będąc małym patrzałem na
oczy matczyne, i widziałem jak po cichu prze-
suwały się po nich czyściuteńkie chmurki szczę-
ścia.

Byłem szczęśliwy...

A dziś na te oczy śmierć położyła dłoń
swoją.

A ja szczęścia szukam w błękitach i — upa-
dam...



SAMA SAMIUTEŃKA.

W nędznej chacie leżała baba. Pod grzbietem miała worek, a pod głową czarną twardą poduszkę. Na ziemi, koło baby, leżał kęs chleba i stał dzbanuszek z wodą. Dzieci, idąc na robotę, zostawiły to dla baby, aby miała co jeść i pić. Bieda była: więc cóż lepszego można było dla niej wyszukać? Doglądać zaś chorej w czas roboczy, Bóg widzi, niepodobna było.

W chacie brzęczały muchy. Siadały na chleb i jadły go, włożyły do dzbanka i wodę piły. Najedzone siadały na babę. Lazły jej do ocz, do ust. Baba jęczała, ale much odpędzić nie mogła.

Leżała na ziemi i błędnymi oczyma wpatrywała się w krzyż, na tramie wyrznięty. Z tru-

dem rozchyłała spieczone wargi i zwilżała je zbiełałym językiem.

Przez szybki przeciskało się światło słoneczne. Barwy tęczy igrały na pomarszczonej twarzy. Lęk zbierał patrzeć na babę w tem oświeceniu. Muchy bzykały, światła różnokolorowe pęzały po niej razem z muchami, o ona mlaśkała wargami i pokazywała biały język. Chata podobną była do zaklętej pieczary z wielką grzesznicą, która pokutuje od początku świata i do sądnego dnia pokutować winna.

Gdy słońce stoczyło aż do nóg baby, gdy stanęło koło sznurka, którym był worek związany, baba zaczęła się tarzać po ziemi i szukać dzbanka.

— Patrz, patrz, oho!

Baba ucichła. Tylko ręką odpędzała maryl.

Z pod pieca wylazł czart z długim ogonem i siadł koło baby. Baba z trudem się odeń odwróciła. Czart usiadł znowu naprzeciw niej. Wziął do rąk ogon i zaczął nim gładzić babę po twarzy. Baba mrugała tylko oczyma, zaciśnięwszy zęby.

Wtem wyleciała z pieca chmara małych dyablików. Zawisły nad babą, jak szarańcza nad słońcem, albo stado wron nad lasem. Potem spadły na nią. Założyły jej do uszu, do ust, siadały na głowie. Baba broniła się. Wielkim palcem dotknęła średniego i chciała je tak podnieść do czoła, aby przeżegnać się. Ale dyabliki wszystkie razem siadały na ręce i nie pozwalały krzyż nad sobą uczynić. Stary dyabeł pogroził nawet babie, aby głupstw nie robiła.

Długo walczyła z nimi baba, przeżegnać się jednak nie mogła. Wreszcie czart objął babę za szyję i zaczął się śmiać, ale tak strasznie, że baba zerwała się na kolana i twarzą upadła ku oknu.

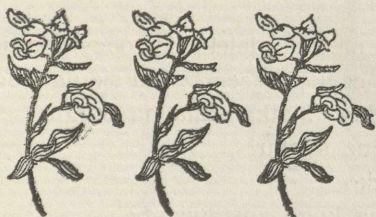
Stąd lecieli na babę jeźdźcy. W zielonych kabatach, z lulkami w zębach, na koniach czerwonych. Już, już nastąpią, już... już z babą amen!

Zamknęła oczy. Ziemia w chacie rozwarła się, baba staczała się w szczelinę i spadała ku dołowi. Leciwała wciąż na dół... na dół... Gdzieś na dole chwycił ją czart, zarzucił na

plecy i jak wiatr z nią pomknął. Baba szarpnęła się i głową uderzyła o stół.

Polála się krew, stara zachłysnęła się i umarła. Głowę przechyliła koło nogi od stołu, i rozwar-temi martwemi oczyma patrzyła z ukosa na chatę. Czarty przestały harcować, tylko muchy krew lizały z rozkoszą. Pokrwawiły sobie skrzydelka i coraz więcej było w chacie czerwonych much.

Siadały na czarnych garnkach pod piecem, i na miskach, na których wymalowani byli jeźdźcy w zielonych kabatach, z lulkami w zębach. Wszędzie roznosiły krew baby.



W REKRUTY.

Nad zachodem skamieniała chmura czerwona. Dookoła niej łuna rozrzuciła swe białe smugi i podobną była ta chmura do głowy skrwawionej jakiego świętego. Z za głowy świeciły promienie słońca.

Na podwórzu zebrała się gromada ludzi. Z zachodu biło na nich światło jak od czerwonego kamienia — twarde i stałe. Z sieni sypało się jeszcze dużo ludzi. Wychodzili smutni jak od umarłego.

Za ludźmi wyszedł młodziutki parobczak z ostrzyżoną głową. Wszyscy weń się wpatrzyli. Zdawało się im, że ta głowa, co teraz się złoci w krwawych promieniach, ma się

zwalić z karku na trakt daleki. W obcym kraju, gdzieś pod słońcem gorącym zwali się na drogę i walać się będzie. Matka stała na progu.

— Idziesz już synku?

— Idę, matko.

— A nas na kogo zostawiasz?

Kobiety zaszlochały, siostry ręce załamały, a matka głową biła o drzwi.

Ojciec przystąpił do syna.

— Siadajmy, synku, na wóz, bo na kolej późno!

— Jeszcze noc jedną u mnie się ostań synku. Piastowałam cię tak gorzko, chuchałam na cię, jak na ranę. Ze słońkiem cię jutro wyprawię, i płakać nie będę. Zanocuj, zanocuj, dziecinko!

Wzięła syna za rękawy i powiodła do chałupy.

Naród się miał ku wrotom. Niebawem wyszła matka z synem. Twarz miała bladą jak kreda.

— Synku, — pytał się ojciec — a kto mi, nieboże, kartofle wykopie?

Chłopi rozplakali się. Ojciec głową padł na wóz i trząśł się jak liść.

— No, chodźmy.

Matka nie chciała puścić.

— Mikoło, nie idź! Zanim się wrócisz, progi się w chacie wykrzywią, węgły pogniją. Mnie już nie zastaniesz, a może sam nie wrócisz!...

Chwyliła syna za nogi.

— Wolałabym widzieć cię na marach!

Poszli. Kto stał koło wrót, szedł odprowadzać rekruta. Szli lasem. Liście ustało im drogę. Pozaginało się w miedziane czółenka, by z wodą jesienną płynąć drogą za rekrutem. Las podchwytywał łkania matczyne, niósł je w pole, kładł na miedze, aby wiedziało, że na wiosnę nie będzie Mikoła na niem już orał.

Stanęli w polu za lasem. Rekrut zaczął się z wioską żegnać:

— Ostańcie zdrowi i swoi i obcy. Jeżelim komu coś złego zrobił, przebaczcie, i przeżegnajcie na daleką drogę.

Wszyscy pozdejmowali kapelusze.

— Wracaj zdrów i nie baw się długo!

Syn z ojcem wsiedli na wóz. Matka za koło chwyciła rękoma.

— Synku, weź mnie z sobą. A jak nie, to naprawdę, biec będę polem i dogonię cię.

— Ludzi dobrzy, weźcie tę kobietę, bo sobie ręce połamię.

Chłopi przemocą odciągnęli babinę od woza i trzymali. Wóz ruszył.

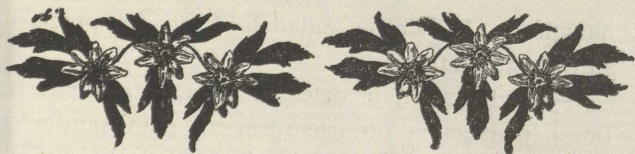
— Bądź zdrow, Mikoł! — krzyczała gromada.

Tej nocy stara macierz siedziała na podwórzu i ochrypłym głosem zawodziła:

— Skąd cię mam wyglądać, gdzie cię szukać?

Córki jak kukuleczki coś do niej gwarzyły. Nad niemi rozpostarło się jesienne niebo.

Gwiazdy błyszczały jak złote kwiateczki na gładkim, żelaznym toku.



DZIADEK.

Odłożył grabie, usiadł na miedzy, lulkę zapalił i jął sam z sobą rozmawiać. Z początku pocichu, a potem głośno.

— Trochę trza spocząć, bo pokaż się jeno w domu, zaraz ci znajdą robotę. Synowa, aby zdrowa, zaraz rzeknie: Nie siedźcie-ż darmo, dziadku....

— A Bóg mi świadkiem, że ledwie przebieram członkami. A ręce, patrz, jak zgrzebło, a już cały miesiąc się nie goliłem, a do cerkwi pono ścieżki zapomniałem. W czym pójdę, kiedy mi wszystko zabrali?

Głos dziadka wędrował po polu, z miedzy

na miedzę. Ludzie się zglądali. A on nie przedstawiał się skarżyć.

— Ech dzisiaj-ci dzieci! Ale ja, dziękować Bogu, pamięci nie utraciłem jeszcze, pamiętam-ci ugodę notaryalną. Suchutki był panisko z bródką ten notaryusz.

On-ci tak synowi tłumaczył. Dla dziadka, mówi, dopóki żyć będzie, ma zostać pościel, on ma na niej spać, wylegiwać się, aby nawet do wschodu słońca. A gdy go na ławę położycie, powiada, i ziemią przysypiecie, wtedy dopiero przenoś się ty z ławy na dziadka pościel. A dla baby, mówi, ma pozostać zapiecek, na nim niech się wygrzewa, niech się Bogu modli, a gdy ją umyjecie i ręce na krzyż jej złożycie, wówczas niech synowa na zapiecek lezie.

Jesienny wiatr igrał z siwym włosem dziadka.

— Ale niech-no notaryusz pod wieczór zaglądnie do chaty. Syn na pościeli, synowa na zapiecku, a ja ze starą na ziemi, na słomce się walamy. A to sprawiedliwie! A gdzież jest Bóg? Pono u tych ludzi niema Boga w sercu, och, niema....

Głową kiwał, że młodzi ludzie w sercu Boga nie mają.

— Gińcie, staruchy, szkoda łyżki strawy dla was. Mleczko spijają, serek zjadają, a my jak szczenięta na nich spozieramy. A ja im dał krówkę, dał owieczkę, dał pług, wszystko dał. Ludzie dają, i ja dałem. A dzisiaj oni powiadają: wy starzy, słabi — to jedzcie mało. Tak powiadają nam nasze dziatki.

Głos dziada drgnął, i dziad umilkł.

— I jak psów nas pogrzebią, dalibóg, nawet buta na nogi nie wdzieją...

Gromada bocianów zleciała na oczeret i zatrzepotała nad dziadem skrzydły, aż się przeląkł. W ciepłe kraje do odlotu się gotowały.

— Oho, już jesień. Tak, tak, niebawem będziemy mieli Boże Narodzenie...

— Chociaż ptak, ale rozumne stworzenie, tylko, że nic nie mówi. Jemu źle, i szuka sobie lepszej przystani. W zimie żab niema i zimno. A ono wie naprzód. Nie tak, jak człowiek, co musi biedować na jednym miejscu.

Wstał z miedzy, lulkę schował, wziął gra-

bie i puścił się do domu. Jeszcze kilka razy obracał się, by popatrzeć na bociany. Wreszcie stanął.

— Nie wiedzieć, czy ze starą doczekamy, aż wróca? Pono któreś z nas się minie, pono już bocianów nie ujrzymy.



SKON.

Gdy nadeszła głucha jesień, gdy z lasu liście opadło, gdy pole okryły czarne wrony, wtedy do starego Łesia śmierć przyszła.

Umierać trzeba każdemu, śmierć nie straszna, ale długo leżeć — męka. I Łeś męczył się. Chora wyobraźnia unosiła go w jakiś inny świat, a potem wyrzucała go z niego. A ten inny świat był boleśnie dziwny. I niczem Łeś nie mógł się oprzeć temu światu, tylko jednemi oczyma. Dlatego też owemi błyszczącemi, zmęczonemi oczyma miał się maleńkiego kagańca. Chwytał go się, trzymał, i wciąż się lękał, że powieki zamkną się, a on się stoczy w bezdenną otchłań.

Przed łóżkiem jego, na ziemi, po nieprzespanych nocach snem zdjęci, spoczywali rzędem synowie i córki. On się z wysiłkiem miał

oczyma kagańca i zmagał się ze śmiercią. Powieki wciąż mu opadały, gdyby ciężar wielki.

Widział dużo dziewczątek na podwórzu. Każda trzyma wiązkę kwiecica w ręce. Wszystkie spozierają na mogiłę, śmierci oczekują. Potem wszystkie zwracają oczy ku niemu. Chmura ócz sinych, i siwych, i czarnych. Chmura ta płynie ku jego czołu, muska je i ochładza...

Przetarł oczy, chwycił między palce żyłę na szyi, bo z karku mu głowę strącała, i pomyślał sobie:

»Patrz, oto anioły przed śmiercią ukazują się«. A gdy tak myślał, z przed oczu jego uciekł kaganiec.

Pole równe, dalekie, od słońca spieczone. Błaga wody, drzy i ziele przygarnia do siebie, by się z niego wilgoci napić. Orze na niwie i rękoma nie może utrzymać czepiela, bo pragnienie go pali w gardle. I woły widać pali, bo nozdrzami ryją wilgotną ziemię. Wypuszcza z rąk czepiele, pada na niwę, a ona go spala na węgiel...

Kaganiec wywiódł go z tego świata.

»I nie raz, i nie dwa bez wody na polu
ginałem, u Boga to wszystko zapisane!«

I znowu stoczył się.

U rogu stołu siedzi nieboszczka jego matka
i śpiewa piosnkę. Głos ściele się po izbie cicho
i smutnie i dochodzi do jego uszu. To owa
piosenka, którą mu matka jako dziecku śpie-
wała. Jon płacze i boleje, i dłońmi łyzi uciera.
A pieśń matki prosto w duszę idzie i wszystkie
męki z tą pieśnią tam płaczą. Matka dąży ku
drzwiom, za nią i pieśń idzie, i męki z duszy.

I znowu ukazał mu się kaganiec.

»Matka z tamtego świata ma zejść, by nad
swojem dzieckiem zapłakać. Takie boskie prawo«.

Chłód mrozi mu członki, chciał kożuchem
je przykryć; wtem zawarły mu się powieki.

Donośne dzwony jęczą i kresami głowy
jego dotykają. Głowa trzaska się, z ust zęby
wylatują. Serca dzwonów odrywają się, i pa-
dają mu na głowę, i ranią go...

Powłóczył straszniemi, nieprzytomnemi o-
czyma.

»Ślubowałem sobie dzwon zakupić, aby

we wsi o pożodze znać dawał, ale ciasne roki były... Przebacz mi, Boże miłościwy!»

I znowu stoczył się w otchłań.

Z góry, z ogromnej wysokości spadają na niego snopy jęczmienia. Padają i zasypują go. Oście lezie mu do ust, do gardła. Pali czerwonymi igłami i zbiega się koło serca, i piecze piekielnym ogniem, i żga w samo serce...

Otworzył oczy już martwe i bezświatne.

»Marcinowi nie dawali zarobionego jęczmienia i ten jęczmień śmierć mi sprowadza«.

Chciał dzieci zawołać, aby oddali jęczmień Marcinowi, ale krzyk przez gardło nie mógł się przecisnąć, tylko niby gorąca smoła po ciele się rozchodził. Wywiesił czarny język, wetknął w usta palce, aby wydobyć głos z gardła. Ale zęby zawarły się, i ścisnęły palce. Powieki opadły.

Okna otwierają się w chacie. Do chaty wsuwa się biała płachta i snuje się bez końca i miary. Jasno od niej, gdyby od słońca. Płachta spowija go jak maleńkie dziecko, naprzód nogi, a potem ręce, plecy. Mocno. Jemu lekko,

lekko. Potem włazi do głowy i łaskoce mózg,
wciska się w każdy staw i miękko wyściela.
A pod koniec obmotuje gardło coraz silniej,
coraz silniej. Obiega gdyby wiatr dookoła szyi
i obmotuje, obmotuje...



PODPALACZ.

I.

Sielski bogacz, Andrzej Kuroczka, siedział przy stole i obiadował, raczej nie obiadował, ale dławił się każdym kęsem. Domowa czeladź wchodziła do izby, wносиła zabłocone cebry, kłóciła się przytem i wynosiła je między chudobę. Bogackie dzieci i sługi były brudne, marne, dźwigały na sobie nieociosane i ciężkie jarzmo chłopskiego bogactwa, które nigdy nie daje spokoju, ani radości nijakiej. Sam bogacz dręczył się w tem jarzmie, przeklinał swą dolę i nieustannie poganiał dziećmi i czeladzią.

Koło niego na ławie, pod oknem, siedział jego długoletni robotnik, stary Fedor.

— Nigdy nie mam takiej szczęśliwej godziny,

abym spokojnie mógł kawałek chleba przełknąć. Człowiek się zabiega, uganiania — pozierajcie jeno, jak padnę gdzieś i zdechnę! Jakże mi to jedzenie ma smakować, kiedy widzę, że bezemnie w stodole nic nie robią? Jeno, aby się najeść i dzień przeproźniaczyć. Co tu cudzym gadać, kiedy swoje dzieci — nie chcą robić! Ja, dalibóg, nie wiem, jak ten naród ma żyć na świecie? Wszystko pójdzie na żebrzy.

I dał się, aż mu oczy na wierzch wyłaziły.

— A wyście czemu, Fedorze, nadeszli?

— Wy nie widzicie, co koło mnie się święci? Zima idzie, a ja boso chodzę; dajcie mi ze dwa reński na odrobek.

— A wy zdolni jeszcze do roboty? Już się wasza robota skończyła, Fedorze.

— Niechbym i nie robił, byle kto jeść dał za darmo.

— He — he! Dziś za darmo jeść nie dadzą, dziś już wasza robota i jadła nie warta, taka ta robota! A mówiłem wam: najmijcież mi dziewczkę, bylibyście teraz mieli swój pieniądz.

— Cóż, kiedy nie chciała i do dwora poszła.

— Jużciż, kto nie chce robić, ten się pcha do dwora, bo choć tam nie wiele jeść dają, ale można się walać. Biedni ludzie teraz nastali, byle raz na dzień zjadł, ale, by nic nie robił, to wtedy raj! Jak robią, tak mają, tak ich Bóg błogosławi. Dziś trzebaby się w powróżek skrećić, aby coś mieć... Ta te dwa srebrne ja wam dam jeszcze, co będę robił z wami, może się jakoś opędzicie, ale więcej mi nie przychodźcie i nie płaczcie, bo nie dam. Sami widzicie, że wasza robota już na nic.

— Ta ja, Andrzej, muszę przy ludziach się tulać, a gdzież się podzieję?

— Podziewajcie się, gdzie chcecie, a między gazdów wyście już nie zdatni. Szukajcie sobie służby u żyda albo u pana — tam robota lżejsza.

— Pięknie wy mi radzicie! U was siłę straciłem, a teraz na starość mam-ci żydom iść wodę nosić.

— Za darmoście mi nie robili.

— Ech, bywajcie zdrowi.

I Fedor wyszedł z chaty.

— Ano, ta te żebraki wszystko by zabrały! Takie to dychawiczne, chore, zaślinione, że cepa w rękach udziżyć nie zdoła, a jeszcze się stawi! Idź-że na złamanie karku. Myśli, że ja pieniądze kuję albo kradnę!

Fedor dążył ku swojej chacie i nie przestawał szeptać:

— A ja, Andrzeju, gdzie puścił siłę? Czy ją przetańcował, czy ją przepił. Wszak całą zostawiłem u ciebie, na twojem podwórku. A ja, Andrzeju, gdzie puścił siłę?

W chacie zrzucił buty i legł na pościeli. Leżał do samego wieczora i zasnął bez wieczerzy. Ale jeszcze kury nie piały, jak się zerwał, uderzył biodrami o deski, znów legł i znowu się zerwał. Przez maleńkie okienko patrzyła na niego noc jesienna. Niby to i nie noc, ale troska czarna, co zawodziła po węglach chaty i patrzyła się nań siwem, niemiłosiernym okiem. To go tak zmogło, że nie mógł się ruszyć: przewidywały mu się jakieś obrazy w okienku, jakieś widziadła w powietrzu.

Oto, siedzi między żydziakami, doziera ich, piastuje, a one go ciągną za czuprynę i w twarz mu plują...

...To znów klęczy w cerkwi, w tym kącie, gdzie żebraki o podłogę czołami biją. Uderza jeszcze głośniej, a jakieś kobiety podchodzą ku niemu i dają mu po bochenku chleba. Kładzie je za pazuchę, kładzie — i staje taki szeroki, że aż ludzie się rozstępują. A jemu wstyd, wstyd, a czoło tak go boli!...

...O, znów idzie ogrodem Kuroczki — nie idzie, a skrada się chyłkiem pod stodołę. Wyciąga snopek ze strzechy, nasypuje węń z lulki watry, i ucieka, ucieka... Czuje poza sobą, jak gdyby na oczy widział, jak z pod strzechy wylizuje się maleńki czerwony jęczyzek, wylizuje się i chowa...

— Oj, joj, joj!

Ten jęczyzek zapiekł go w sam mózg. Całą siłą oswobodził się z niewidomych więzów, zerwał się i popatrzył w okienko. Ono gdyby kat, przeszywało go nawskróś. Ono znowu będzie go dręczyło swymi obrazami. Przeląkł się,

nie widział żadnego wyjścia, zwrócił się, aby gdzieś uciec. I przed nim jakby jakieś wrota otworzyły się, stało mu się lżej i czemprędzej w nie się podał.

II.

Może miał szesnaście lat, gdy opuszczał swe sióło. Takiego jasnego dnia, takiego wesołego słońca już nigdy potem nie widział. Słonko pieściło zielone trawy, sine lasy i srebrne potoki. Obejrzał się za siółem. Żeby kto przyszedł i rzekł mu jedno słowo, wróciłby się, och, wróciłby się prędko!

— On mię bije, katuje, jeść nie daje, nie przyodziewa — leciała jego skarga po zielonych trawach.

— Bodaj-że was, tatusiu, ziemia nie pożarła!

I jeszcze prędzej poszedł. Minął wiejskie pola, pominął jeszcze dwa sióło i ze wzgórza zobaczył miasto, co wyłyskiwało się naprzeciw słońka, gdyby gad błyszczący....

Wszyscy dziwowali się jego sile i bali się go. Żydzi nie potracali, a robotnicy nie brali go na śmiech i nie robili zbytków. Rzucił ciężkimi worami, gdyby piłką — dzień ode dnia to z wozu do szpichlerza, to ze szpichlerza na wóz.

— Grzbiet pęka mi od tych worów!

— Pij gorzałkę, to zcierpie.

I rzeczywiście od gorzałki grzbiet zcierpnął, jakby ręką odjął.

A w niedzielę i święta szedł w towarzystwie do szynku. Te szynki mieściły się za miastem, między siołem a miastem. Kto w siole nie miał przytułku, ten wędrował naprzód tu, a kto nie miał co w mieście robić, to także tu zachodził. Bo to nie było ani sioło, ani miasto.

Bywały tam zabawy po tych szynkach!

Zrazu panowie z miasta rej wodzili. Rozprawiali o swoich dawnych majątkach, o tem, wiele pieniędzy z cesarskiej kasy, co pierwszego pobierali, jakie szaty nosili. Chłopi słuchali, częstowali ich gorzałką z wielkiego uszanowania. Ale, jak sobie trochę podpiłi, to wyła-

mywali się z pod moralnej władzy i wtedy ciężko panom przychodziło.

— Ano, panowie, ochota! Łapajcie się za szyje i hulajcie nam polki, niech widzimy, jak się to dzieje między takim wielkiem państwem!

Panowie hulali, bo musieli, chłopci obścapi ich kołem i rechotali się aż karczma dudniła.

— Hopa dziś!

— Jeszcze raz!

— Po lekku, sprawnie wraz!

— Hu, dość!... Teraz pijcie gorzałkę, i marsz z karczmy, bo chłopci sami chcą sobie między sobą pohulać!

I panowie, jak zające, wymykali się.

— Ja tych panów umiem rychtować! To takie lekkie, jak pierze: dmuchnij, a już go niema.

— Hej, Judo, dawaj gorzałki, dawaj piwa, dawaj, haraku, bo my się znamy!

Żyd szybko stawiał wszystko na stół i zaraz odbierał pieniądze.

— Ty Bezbiody, ty czego beczysz? Za biodrem? Pij, a zamknij sobie gębę, bo u mnie zabawa!

Bezbiodry jeszcze głośniej zaryczał.

— Cicho, bo biję!

— Nie rusz!

— A ty co za jeden?

— A tyś-co za pan?

Fedor wstał z-za stołu i trzasnął w twarz napastnika.

— Ty w niedzielę pierzesz? To grzech!

I uderzeniem ławki zwałił Fedora na ziemię. Powstały dwie partye. W karczmie wszystko się zawieruszyło. Żyd uciekł, gorzałka bulkotała po ziemi, stoły i ławki od krwi poczerwieniały i padały połamane. A w błocie ze śliny, gorzałki i krwi leżały obie partye i stękały. Jeden Bezbiodry siedział w kącie i ryczał jak wół — nie wiedzieć za kim i za czem.

Niebawem nadbiegła policya i jęła trzeźwić. Z wielkim trudem podejmowała na nogi, a potem jednym zamachem z nóg zwałała. Bractwo padało jak dęby, a podnosiło się jak glina. Gdy ich wytrzeźwili, prowadzili do aresztu.

.

Jechał drogą pomiędzy polami na wozie

z workami. Pszenice i żyta gdyby złote i srebrne gaje pod lekkim wiatrem ku sobie się kłoniły. Po złocie i po srebrze pływały lekkie, czarne chmurki, jak cienka sieć jedwabna. Morze słońca w morzu bezbrzeżnych łąnów. Ziemia pod kłosem dzwoniła, śpiewała, goworzyła słowy.

— Moszku, bierz lejce, bo ja precz sobie pójdę!

Zeskoczył z wozu i poszedł miedzami pomiędzy żyta. Pod wieczór zaszedł do Andrzeja Kuroczki.

— Ty pewno albo złodziej albo łajdak jaki, bo dobry nie idzie ze swego sioła i nie błąka się światami!

— Zobaczycie. Ojciec, co po pańszczyźnie nie przepili, to za głodnych roków posprzedali, potem zięcia przyjęli i umarli, a zięć bił mię dotąd, ażem uciekł z chaty.

— A u was, u Bojków, słyszę, krowami orzą?

— Nie, to pono za nami jeszcze są Niemcy, to oni krowami orzą?

— To zrzucić obuwie i wynieść kozuszyne do sieni, żebyś jakiej nędzy nie napuścił i legaj. A cerkiew u was taka, jak u nas? I ksiądz jest?

— Taksamo, jak u was.

— To będę widział, jak się sprawować będziesz. Nie będziesz obraźliwy, a roboty się bać nie będziesz, to cię najmę.

I najął się. Siolo go poznało, że nie złodziej, że robotnik z niego dobry, że się stara o siebie i przyjęło go za swego. A on się dowiedział, jak które pole się nazywa, czyje ono, czy wymaka, czy wysycha, który w siole najlepszy złodziej, który największy bogacz, — i zrobił się sielskim.

Posłużył lat kilka, i dobrzy ludzie jęli mu radzić, aby się stał gazdą.

— Nie bądź głupi: jak daje kawałeczek ogrodu, a dziewczka rośła i zapobiegliwa, to bierz. A masz zasłużony pieniądz, a jeszcze przyrobisz, to postaw sobie chatę. A niech będzie ona, jak chlew — ale twoja! A czy deszcz, czy zima, czy taki tak niema roboty, to już ty

. . . , . . .

• • ■ • • • • • • • • • • •

— 39 —

A gdy żonę do trumny włożyli, wtedy zapłakał.

— Bierzcie ją powole, bo jej ciało bardzo zboleło. Oj, Kasiu, jeszcze dobrze nie zdążyłem z tobą nagadać się, a ty się rozgniewała i poszła odemnie.

Przypadł do nieboszczki i w oblicze ją całował.

— Ludzie, ludzie, ja do niej nigdy słowa nie zagadał, ja przez tę robotę o niej zapomniał i o rozmowie. Przebacz mi Kasiu, przebacz przyjacielu dobry!

Płacz niewiast wybiegł z chaty daleko na sióło.

— Ona, ludzie, jak poszła za mnie, to tak, jakby pod wodę wpadła, nikt jej już nie zobaczył między ludźmi. Aż teraz wynurzyła się wśród was — na ławie. Ja do niej nigdy marnego słowa nie zagadał, słówka marnego!...

.

I znów lat parę minęło. Jednego wieczora przyszła ze służby Naścia. Fedor popatrzał na nią i zbladł.

— Naściu, niebogo, tyś sama, a gdzież twój mąż?

— Naścia zapłakała, załkała, a on do niej więcej słowa nie przemówił. Aż jak ją odprowadził do miasta na służbę i zegnał się z nią, wtedy wyrzekł:

— Daj ci Boże, dziecino, jak najlepiej, ale uważaj, abyś dziecka nie straciła, bo wstydu już nie pokryjesz, a grzechu nieodpuszczonego się dokupisz. Ta donoś przecie czasem, jak ci się wiedzie...

.
A roki szły, nie stały. Fedor nie wypuszczał przez całą zimę cepa z rąk, przez całą wiosnę nie porzucił pługa, a kosy przez całe lato. Kości bolały, końce ich się ścierały i piekły. Niedziela jeno stawała na poratunek, bo w niedzielę zachodził pod wiśnię, kładł się na trawę zieloną, a ona wsysała w ziemię ten ból. Ale przyszedł taki czas, że i niedziela nie zdołała naprawić tego, co powszednie dnie zepsuły, i trawa nie mogła wyssać tego bolu, co się zapiekł w starych kościach. Do tego przyłą-

czył się kaszel i nie opuszczał go ani przy kosie, ani przy pługu, ani też przy cepie...

.

Świtało, okienko pobierało i Fedor wrócił z dalekiej wędrówki swego minionego życia.

Umył się, zmówił pacierz i zabierał się do dworu.

— Najmę się u pana od wiosny, wezmę na buty i trochę ornaryi i jakoś przeczimuję, zanim się do służby zaprzęgnę.

III.

Wijące się po siole białe, wążutkie ścieżki wszystkie chałupy w kupę powięzały, jedna tylko Fedora chata stała po za siecią ścieżek, jak pustka. Fedor zimował jak niedźwiedź. Rano wstawał na godzinę, aby ogień rozniecić i ugotować sobie jadło, a potem cały dzień, całą noc przeleżał na piecu. Czem dalej zachodziło w zimę, tembardziej schodził na dziecinny rozum.

— Teraz, Fedorze niebogo, wstań, ukrój

sobie kromeczkę chleba, ale cieniutką, pańską, boś, widzę, już zgłodniał.

Śmiał się do siebie, zląził z pieca i krajał kromkę chleba i patrzył przez nią do okna, czy istotnie cieniutką jest i pańską.

A w ciemne, zimowe noce głośno, na całą izbę, gadał straszne rzeczy.

— Sioło wymarło co do nogi, a ja sobie ani du — du, nie chcę nawet patrzeć w tę stronę!

Ale własne słowa przejmowały go lękiem, potniał ze strachu i zeskakiwał z pieca do okienka, by się przekonać, czy w karczmie się świeci. Uspokoiwszy się, wracał znów na piec.

A gdy w nocy ze snu się przebudzał, nie mógł się opamiętać, zapominał się i przychodził do siebie wtedy dopiero, gdy o belkę uderzył pięściami.

Tej zimy chata jego zappełniła się upiorami, widmami i marami. Hułały sobie po izbie jak swawolne dzieci. Wylatywały do sieni i wystudzały izbę, przez piec na strych wybiegały i tłukły się, aż powała się łupila, to dzwoniły do okien, aby go zwabić na podwórze. On

nie dawał się i postanowił się nie bać: wtedy wybiegały one na piec i szczypały go, dusiły i w usta zapychały onucki. Jednej nocy zleciały się do chaty wszystkie czarty. Hulały aż chata drżała, a wiatr taki zrobiły, że zamarzał na piecu. Potem pozasiadały za stołem i powywalaly ze zmęczenia języki takiesame, jak ten maleńki języczek, co go podłożył pod Kuroczki stodołę. Leżał gdyby martwy, aż jak kury zapiały, wtedy wstawał z trudnością i modlił się. Ale one mu i przy modlitwie nie dawały spokoju. Nie mógł przypomnieć sobie tych pacierzy, które umiał najlepiej, zapominał się nawet przeżegnać. Te mary tak go zmordowały, że jak nadeszła wiosna, to już ledwo dychał i pobielał jak papier.

— Trzeba wziąć pieniędzy, skąd się da, i poświęcić chatę, bo tu nieczyste zlazło się z całego siola na kupę. Wypiły ze mnie krew całkowicie, te mary przekłete!

Jak tylko słońce wiosenne zabłysło, buty smarował, koszule latał, kręcił sznury do kerpów i cieszył się, że już raz pójdzie do służby.

— Ubiorę się, obuję ładnie i do dwora!
Proszę jaśnie pana, melduję się do służby...

— Dobrze Fedorze — gdzieś odpowiadał mu pan — ty, widzę, człowiek sprawiedliwy, kiedy sam się meldujesz podług przepisu...

I Fedor, łatając koszulę, uśmiechał się słodko.

IV.

Fedor stał na środku pańskiego gumna i patrzył smutno za rzędem pługów, co się wysnuwał z bramy, jak łańcuch, w którym żelazo spajało mięso ludzkie z mięsem wołów.

Skończyło się już moje oranie! Stare ogniwo, to i wyrzucili, bo łańcuch urwałby się wśród drogi...

Pokiwał głową i poszedł do stodoły brać świniom ziarno. Przez cały dzień na gumnie było cicho. Jenó od izb służebniczych dochodziły krzyki bab i płacze dzieci.

Jakby kto z sióła powybierał co najgorsze chatki, a do nich zegnał najbardziej obdartych chłopów i najzłóćniejsze baby, dodając jeszcze

goły drobiazg — i to wszystko razem zebrał na kupę, to miałby prawdziwy obraz najemniczych chat z ich mieszkańcami.

Fedor z gumna patrzył na chatki i czemuś przeczył głową.

— A gdzież jabym tam szedł w takie piekło! Ja sobie będę spał w stajni, teraz zimy niema. Nie pójdę tam w tę przepaść.

Wieczorem poszedł do stajni. Koło żłobu stały dwoma długimi rzędami woły i leniwo przeżuwały siano. Przy każdym czteru siedział poganiacz i dozierał, aby pod siebie nie wyrzucały. Między tymi rzędami siedzieli na ziemi zapłuznicy i osiewacze. Łatali sobie obuwie, ściągali powrózkami swoje gunie i naprawiali istryki. Każdy koło czegoś dłubał. Przy nich usiadł Fedor. Potem osiewacze legali na słomę, za nimi przewracali się poganiacze w żłoby, a za przykładem poganiaczy poszli zapłuznicy. W stajni zapanował ciężki odpoczynek, co po ogólnem znużeniu pada na stajnię gdyby ciężki kamień. Fedor też zasunął się przed woły.

— Świniarzu, hej, świniarzu, a marsz

z przed wołów między świnię! Może-ci jeszcze łóżko postawić? Twoja Marya dobrze nas rychtuje. Zmówiła się z furmanem i wydaje mu co najlepsze, to jeszcześ i ty przylaźł na naszą głowę? Marsz z przed wołów!

Fedor wygramolił się ze żłobu i legł przy drzwiach na wiązce słomy. Zapomniana krzywda w tej chwili się odezwała.

— Grzech będziesz miał za mnie, Andrzeju, grzech...

Stajnia stękała, poziewała, przez sen goworzyła. Tak ciężko dyszała, jakdyby gdzieś głęboko, w ziemi, dusiły się tysiące ludzi..

— Módl się za mnie, niech mię Bóg ustrzeże, niech mi da lepszy rozum, bo cię upiekę w ogniu, jak paciuka, bo będziesz trzy dni popiół za swoim bogactwem zgartywał..

Nad ranem i on stoczył się w czarną przepaść snu stajennego.

V.

Fedor nigdy już potem nie zachodził do stajni i nie rozmawiał z najmitami. Spał w sto-

dole i nie pokazywał się na oczy. Po Wielkanocy Marya wyszła za furmana i przeszła z nim na służbę do drugiego pana. Fedor wyszedł z nimi za bramę i pożegnał się.

— Maryo, a pamiętaj, że ja chatę przy ludziach Naści zapiszę, abyś ty jej nie wygnała, bo ona sierota, sama na świecie...

I wrócił się. W chlewie, aby nikt nie widział, zapłakał.

— Teraz żyj z kim chcesz!

Tego jeszcze dnia upił się i przyszedł do stajni.

— Słuchaj, skarbowianie, teraz mnie nikt nie wypędzi, bo już moja Marya powędrowała.

— Ktoby was wyganiał, ot legajcie i śpijcie, jak macie głowę zawieruszoną.

— Pewnie, że pijanemu dobrze spać, tak i Bóg przykazał. Ale ty mi mówisz spać iść, a ja się ciebie pytam: gdzie ja mam iść spać? Skoro tyś taki mądry, to mi powiedz, gdzie mam spać iść?

Aż nosa Protazego się dotykał, tak blisko przysunął się ze swoim pytaniem.

— Gdzie upadniecie, tam spać będziecie!

— A jakby ja tak do żłobu, hę?

Zaśmiał się szyderczo.

— Ja w żłób, a ty mnie za hyrę, potem za szyję i kijem: a marsz, psie stary!

Poganiacze powyłazili ze żłobów, aby patrzeć się na komedję.

— Bij ze żłobu, boś ty tu gnił i masz zgnić, bo ty nie wiesz, co to jest człowiek — tyś wół, tyś chaty nigdy nie widział! Ty porządnego człowieka ze żłobu kijem?... Ale ty się mnie zapytasz: A gdzie-to, waspan, do dziś dnia bywał? A ja ci na to: Byłem między ludźmi, dobrze mi było. A ty mówisz: A czegoż ciebie ludzie od siebie odegnali? Tu sęk! Ale ja ci na to nic nie powiem, jeno trzy słowa: niema u ludzi Boga. Mądrej głowie dość po słowie...

— Idź-cieź, stary spać, nie gadajcie głupstw, a jutro do wsi pójdziem na wybory, to my tych bogaczyków rozumu nauczymy.

— Ja na wybory pójdę i ludziom o całej swej krzywdzie opowiem, ale do żłobu nie

pójdę, bo ja tam nie mam gnić. Ja znam się na gatunku lepiej jak ty, ja więcej widział świata jak twój pan. Ale czekaj, jak ci wyłożę jak na protokole. Byłem pomyjnikiem żydowskim, walałem się popod żydowskimi ławami, po wszystkich kryminałach. A Bóg niech pisze grzechy, ja się nie boję, ja za wszystko odpowiem, tak odrąbię jak pierwszemu lepszemu. A mnie kto rozumu uczył, he? Kij! Nie bój się jak się wywiążę z zadania swego. No, ale dał mi Bóg taki rozum, że się znowu wróciłem do naszej wiary. Jakem ujrzał Jego łaskę niebieską po polu, jak żyto się pod sierp prosiło, a ziemia aż błagała: pójdź, Fedorze, bierz ze mnie chleb — tak zostawiłem żyda wśród drogi i poszedłem do bożej roboty. Dziękuję za to Bogu i do dziś dnia.

Przeżegnał się, całował ziemię i bił czołem pokłony.

— Przyszedłem między naszych ludzi i świat mi się na nowo otworzył! Toż to z nimi harowałem! Ożeniłem się, postawiłem sobie z trudem chatę. Już myślę dobrze mi

będzie. Ale grzechy trzeba odpokutować, Bóg kijem nie bije! Umarła mi Kasia, no, nic, Jego woła, Jego rozkaz. Cieszę się dziećmi, hoduję to, zabiegam — wychowałem. A ludzie wzięli i zniweczyli. Poszła moja Naścia ni tak ni siak, poszła znów po żydach, a Marya, jak wiecie, powędrowała z tym Mazurem. Będzie biedowała. Ale nic, niech mię Bóg skarże, jak co gadam. Kara boża i już!

— A jam bosy! Idę do niego w taką plutę: daj mi halerza, niech obuwie sobie kupię. A on mi powiada: idź do żydów! Poszedłem do was, a wy do mnie: marsz! A którądy teraz iść mam?! Karze Bóg, karzą ludzi, karzecie wy, a ja tyle kary naraz nie zdołam wytrzymać!

— Idźcie, tatusiu, do żłobu, my was prosimy.

— Niech spada na mnie kara, ja ją przyjmę, ale po prawdzie!

Rozdarł koszulę u pazuchy, zdjął i rzucił pod woły.

— Teraz, patrz, jaką mi skóreczkę bogacze zostawili. Ano, o czym tu żyć? I cóż to jest już karać?!

Goły przewrócił się na ziemię. Najmici go przykryli, czem mieli najlepszem.

VI.

Obok gminnej kancelaryi stały dwie kupy. Jedna obdarta, nieznana we wsi, apatyczna, druga czysta, biała, ochocza — najmici i gospodarze. Z jednej i drugiej kupy ktoś, wywoływany wchodził do kancelaryi i głosował. Ekonom aż zachrypnął, bo każdemu najmici musiał nazywać: pana, wójta i żyda. Żandarmi snuli się i uśmiechali, jakgdyby mieli przed sobą dziecinną zabawkę.

— Ano, chłopcy, wybraliście pana, będziecie pić gorzałkę! — wołał ekonom.

Gospodarze podnieśli hałas.

— Oto wszarze, oto żebraki, oto pańska chudoba!

— Moi-ście wy, słyszycie, jak bogacze wrzeszczą?

— Niech wrzeszczą a my pijmy gorzałkę.

— Pijcie żar, pijcie krew swoją, złodzieje!

— My wolimy gorzałkę...

— Oto nam panowie wyszukali prawo, by hołota rozbojem szła na sioło!

— Ty, czytelniku, ty myślisz, że nie byłem w czytelni? Wszak i tam biedny naród stoi przy progu. Za stołem siedzi ksiądz, starsi bracia, bogacze, a dyak czyta gazetę, a wy jeno kiwacie głowami, jak woły, niby wy coś z tego rozumiecie. A to jeden z drugim taki głupi, choć mu oko wykłuj! To ta czytelnia wasza, że bogacz za stołem, a najmita u progu. Tak w cerkwi, tak w kancelaryi, tak wszędzie. I my mamy z wami trzymać?

— Chłopska głowa nie do pisma — a zad nie do krzesła!

Najmici śmiechem parsknęli.

— Cicho tam, wy niemyci, wprzód wszy powybijajcie, a potem uczcie gazdów rozumu!

— Słuchaj-no, Kuroczko, ty też trzymasz z ludźmi? Wszak ty gorszy od żyda! Czego krzyczysz?! Nie bój się, twoje bogactwo pójdzie marnie. A przypomnij sobie, jak służyłem u ciebie i z przyczyny twej roboty popadłem

w chorobę. A czyś ty mi za cały tydzień wyniósł kromkę chleba, albo wody się napić? To ty z ludźmi trzymasz? U ciebie wszystką siłę zostawiłem, a tyś mnie wygnał bosego na zimę! Tyś gorszy od żyda, bo to rachuje się nie nasza wiara. Ale puszczą twoje dzieci to bogactwo, że z niego śladu nie będzie! Ty Kalwinie!

Kuroczka uderzył Fedora w twarz, ale tak mocno, że go krew oblała i on upadł.

— Chłopcy, ano, bogacza pomacajmy! Najmici chwycili Kuroczkę, gospodarze stanęli w obronie Kuroczki, połała się krew...

VII.

Fedor leżał w swej chacie na pościeli. Oczy jego gorzały jak żar od czerwonych jęczyczków, co tysiącami ogników rozbiegły się po jego ciele i smażyły je na węgiel. Jęczyczki te gdyby błyskawice latały po wszystkich żyłach i wracały się do oczu. Gryzł pięście, bił czołem o ścianę, aby ogień spadł z oczu.

Zapalił się, czuł, że z niego bucha płomień, miał się rękoma za oczy. Jeden straszny krzyk, nieludzki jęk! Języczki wyleciały z ciała i przylipły do szybek okienka. Zerwał się. Okienko czerwieniło się gdyby świeża rana i lało krew na izbę.

— Wszystko moje niechaj wygore! Wszystko, com zostawił na jego podwórzu.

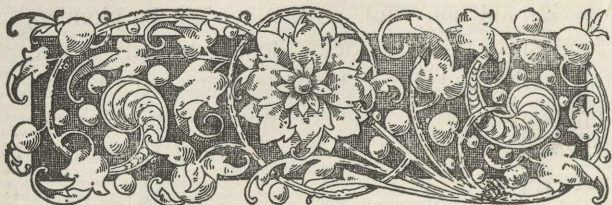
Skakał, tańczył, śmiał się.

Okienko drżało, trzęsło się i coraz więcej tej krwi napływało do izby.

Wybiegł na próg.

Gwiazdy spadały na ziemię, las skamieniał, a gdzieś z pod ziemi dobywały się wściekle głosy i zaraz przepadały. Chaty ożyły, drżały, smażyły się w ogniu.

— Ja cudzego nie pragnę, jeno moje niechaj wygore!



KASIA.

Jak tylko Kasia była przytomną, siadała koło niej macierz i mówiła żałośnie:

— Kasiu, póki będziesz słabowała? Pieniądze wydaliśmy, innych nie zarobisz, choćbyś wyzdrowiała. Wszystkie rozdałam wróżkom. I żadnej z tego pociechy. Prawda, wróżka zgadła, co się u nas dzieje, co cię boli, ale korzenie nie pomaga. Zda się niema dla ciebie ratunku...

Kasia leżała nieruchomo. Suchemi rękami wodziła po obliczu. Paznokcie miała niebieskie jako jej niebieskie oczy i zdawało się, że po twarzy jej wędruje dużo ócz błękitnych, dzi-



wnych, lśniących. Wszystkimi oczyma onemi patrzała Kasia na matulę i potakiwała.

— Oj, niema dla ciebie ratunku... Tatuś całkiem się zgryźli. Nie wiedzą, za co cię po-grzebać, jak zemrzesz? Co spojrze na ciebie, czernieje ze smutku. Wszystkośmy wynieśli z chaty. Czarnej mąki jeno krzynka na dnie, niema ziarnka jednego, niema grosza złama-nego. Gdybyś nam zmarła, ostalibyśmy się, niby pośród morza. Żeby Bóg dotrzymał cię choć do jesieni... Ej, dziewczko, dziewczko, toś nas pocieszyła.

Macierz jęła czesać Kasię.

— Takaś rozpalona, tak kaszlesz, że niech Pan Bóg broni! Ani cię ubrać, ani uczesać, ani umyć. Boże, Boże, jak ciężko nas karzesz! Proszę Boga, bym wzięła na siebie choć po-łowę tej męki i nie mogę Go się doprosić.

Matka roniła łzy, a one przepadały we włó-sach Kasi jako w piasku woda.

Co się z tobą stało? Byłaś mi piękną ro-botnicą na całe sioło! Aże dusza się weseliła. Myślałam, że nam lżej będzie, lecz patrz, jak

lekko! Żeby ci choć lepszej strawy, a to ziemniaki jesz z nami i usychasz marnie. Dość nażebrałam się dla ciebie mleka, aże mi wstyd pali.

Matka zeplatała jej kosę.

— Nie wiem, na com ci tych kwiatów nakupowała? Ot, grosz wyrzuciłam w błoto. Chyba na śmierć cię w nie ubiorę...

Rozplakały się obie.

— Dajcie matuś, niech się choć popatrzę na nie.

Matka dała Kasi kwiaty niebieskie, białe, zielone, czerwone.

Kasia przeglądała je, lekki uśmiech igrał na jej twarzy, a niebieskie, białe, zielone, czerwone blaski błąkały po obliczu.

— Dawaj tu, prędziutko, patrz, tatuś idą i powiedzą, że ci pustota w głowie.

Położyli Kasię na wóz, aby ją wieść do lekarza. Matka ze łzami w oczach podkładała jej poduszkę pod głowę.

— Bogdajbym nie doczekał wieść was po

doktorach! Żebyście wyzdychały. Pogrzebałbym was i zbył się kłopotu!

Trzymał w jednej garści lejce, a drugą ze złości szarpał czuprynę.

— Pamiętaj, niecnoto, jak nadarmo wydam na doktory pieniądze, zaraz będzie ci — amen! Bez doktora cię pochowam, sam będę ci doktorem. Skądże wezmę-ci na doktorów, na aptekę i na dyabła rogatego?! Tego nie wytrzyma moja krwawica, oj, nie! Mam najmować furę, to lepiej odwiozę cię na cmentarz, pogrzebię i zbędę się licha. Boże, Boże, za jakie grzechy dziś tak pokutuję! Wio, szkapo, ruszaj tymi zapadłymi bokami!

Uderzył batogiem konia i wyjechał za wrota. Kasia rozzierała się ciekawie na ulicy. Dużo zaszło zmian od jesieni. Wujek Semen płót naprawili, stary Mikoła pokryli stodołę. Kasia zapomniała o gniewie ojca i rozglądała się na wsze strony.

W polu ludzie orali, siali. Skowronki dzwoniły im nad głową. Czarna ziemia rozsypywała się od słońca.

Kasia zaczerwieniła się i jęła sobie układać:

— Mam w Bogu nadzieję, że się podźwignę, że jeszcze wiosny nie stracę. Zaraz sobie najdę robotę... Boże, Boże, daj mi leku jakiego.

Pewną była, że nie straci wiosny. Ojciec siedział na przodzie i milczał długo. Wreszcie odezwał się:

— Patrzaj, dzień jak złoto, a ty jedź po doktorach!

Zwrócił się do Kasi.

— Powiedz mi, dziewczko, czego mam się jąć? Leżysz i leżysz i niema dla ciebie ni życia, ni śmierci. Pieniądze tracę i tracę i wszystko na nic! Żeby wiedział jaki lek pomógłby - ci, szukałbym za nim, a tak, co ci poradzę? Żeby już raz tędy albo owędy! Tobie byłoby lżej i nam lżej...

Kasia płakała.

— Nie płacz, niebogo, niemasz czego płakać. Zemrzesz i masz spokój! Niby to nie lepiej gnić w ziemi? Takie-ci dziś lekkie życie! Lepiej zemrzeć i nie kaparzyć całe życie na cudzej ziemi! Dość napożyczyłem się pieniądze-

dzy i na pogrzeb muszę pożyczyć, a przyjdzie starość — żydy wypędzą z chałupy. Ej, gdybym wiedział, że niema dla ciebie ratunku, tobym się zaraz wrócił do domu. Dobrze, by choć cośkolwiek ostało się na pogrzeb.

Łkania grały w piersiach Kasi. Kaszel ją dusił.

Ojciec wyciągnął jabłko z zanadru i jakoś nieśmiało podał córce. Nigdy jej jeszcze nie dawał żadnych łakotek.

Nie płacz, dzieciно, przecie nie jestem ci wrogiem. Mówię jeno, żeby grosza nie tracić nadarmo. Bo siebie skaleczę i tobie nie pomogę. Wszak wiesz, że niema skąd. Palec urąbałbym dla ciebie i nie żałowałbym. Poważają mnie ludzie przez ciebie, boś mi była robotnicą na całe sioło. Kasiu moja, chuchałem na ciebie jak na piankę i widzę, że mi zembrzesz. Widno mem oczom, że dla ciebie niema ratunku. Oj, kochanie, Kasieńko moja, dobrze będziemy biedować bez ciebie... Och, biada nam, biada!...

Staruszek umilkł.

— Zembrzę... zembrzę, widzę śmierć przed sobą — szeptała Kasia.
Wjeżdżali do miasta.

Wracają do domu. Sąsiad Mikoła także z nimi.

— Nagadał mi tyle, że gdzie, gdzie-e-e! Poco chłopu iść do doktora? Żeby mówi, dużo piła mleka, żeby zjadła mięsa delikatnego, żeby napiła się trunku dobrego, żeby jej dać chleba białego, co ino jest na świecie — powyszukiwał. Możeby to panu pomogło, ale nam? Dość, że jak ją przypowiadać, dosłuchać nie mogłem końca. Byłoby niby co z tego, jakbym dosłuchał? Jak ma umierać i bez tego zembrze. Niech wypije tej medycyny, com wziął w aptece, i albo niech się wychoruje, albo jak sama chce...

— Wy myślicie — mówił sąsiad — że dokiory chłopu dają takiego medykamentu, jak panu albo żydowi? Gdzie tam? Chłopu wetknie cośkolwiek i bądź zdrow. Albo jemu chce się poszukać dobrego leku dla chłopu? Pan zawsze trzyma z panem!

— Gdyby — uważacie — było komu wam poradzić, a to już taki los psi chłop! Pocałujesz pana w rękę i czekaj, aż-ci każą płacić...

— Najlepiej pójść było do starej Pazi. Poszła wam — powiadają — do doktora i jak zaczął jej jeno szukać leku, rzekła mu zaraz: oj, panie doktor, dajcie mi ostatecznego leku. Ja, mówi baba, nie mam za co się leczyć, dajcie mi panie ostatecznego leku. Doktor, widzi mi się, wypatrzył się na babę i mówi: a to skąd wiesz? Oj, mówi baba, skąd wiem, to wiem, nie pytajcie się panie, ale dajcie mi receptę na ostateczność. Jak ją prosić, dał jej, i do dzisiaj chodzi...

— Kiedy bo nie stało rozumu dowiedzieć się. Myślicie, że z panem tak gadać, jak się wam zdaje? Powiedz raz, dwa, i precz się zabieraj!

— Poszła wam baba z tą receptą do apteki. Dała aptekarzowi, a sama, nie bój się, mądra, patrzy się, jak on ten lek będzie sporządzał. To mówi jak kapnął tego leku na dłoń, to przez rękę przeszedł. Ale gdzieś setnemu uda się do-

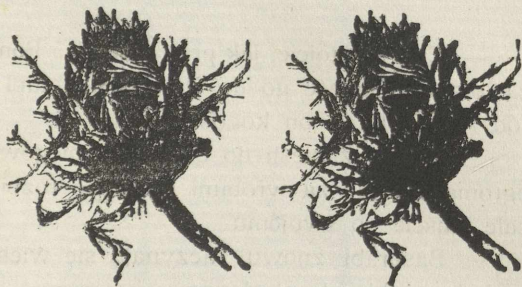
stać takiego leku. A chłopu to taki tylko lek
zdały, że albo tędy albo owędy!

— Och, biada mi, czemu nie spytałem baby,
jak trza prosić tego leku! Wydałem grosz darmo
i na nic... Tom popełnił głupstwo!

— To zdaje się dla waszej dziewuchy niema
ratunku. Widzicie, jaki żar pali jej oblicze? Nic
z niej nie będzie jak z tego listka, co się ode-
rwał z drzewa...

— Och, niema ratunku, niema. I pieniądze
poszły. Żebym się był choć Pazi spytał.

Otóż widzicie na co te leki. Aptekarz ma
swoją aptekę i umiera...



BASARABOWIE.

I.

Tomasz Basarab wieszał się w samo południe w »kosznicy«. Ale Tomaszowa narobiła wrzasku, sąsiedzi porzucili cepy, sąsiadki z chat wybiegły i wszystko zbiegło się na obejściu Tomasza. Odważny Antoni, który za szóstkę rwał zęby, wbiegł zaraz do »kosznicy« i Bóg wie, jak tam sobie poradził, dość, że wyniósł stamtąd Tomasza, jeszcze dyszącego. W międzyczasie cały dziedziniec wypełnił się ludźmi i dziećmi. Stali i patrzali, a na twarzach ich malowało się przerażenie.

— Czegóż stoicie, jak przy marach? Pomóżcie przecie zanieść go do chaty. Oto głupi naród — myśli, że on kogoś ukąsi?!

Tomasza zanieśli do chaty, a zbiegowisko zgromadziło się za wrotami i poczęło rozbierać całe zajście po swojemu.

— Basarabi znowu zaczynają się wieszać, brakuje im klepek w głowie.

— Ledwo minęło trzy roki, jak obwiesił się Łeśko; Boże, jaka wówczas szalała burza! Mnie z chaty cały przyczólek zerwało.

— Już to ród taki Basarabów, że jeden po drugim ginie nie swoją śmiercią.

— Pamiętam jak obwiesił się Mikołaj Basarab, potem za nim poszedł tą samą drogą Iwan Basarab, a jeszcze rok nie minął, a już pewnego poranku zadzierżgnął się na małej wisience Wasyl. Otrząsł z niej kwiecie i pełno miał tego kwiatu białego we włosach. To już temu trzy roki, a jam jeszcze młody człowiek — wszak liczę trzydzieści i pięć років, albo i nie tyle.

— Ty to pamiętasz, a ja pamiętam jak zadzierżgnął się na belku pradziadek. Wielki-ci

był z niego bogacz; pieniądze suszył na płachcie i nigdy piechtą nie chadzał. Miał takiego czarnego konia, co bramę przeskakiwał, i miał harap przy sobie. Opowiadają starzy, że gnał ludzi na pańszczyznę i tym harapem rwał z nich mięso. A pewnego dnia rozeszła się wiadomość, że stary ataman wisi na belku. Byłem małym chłopakiem, ale tak, jak dziś widzę gromadkę ludzi na jego podwórzu. Gdy go odcięli i nieśli do chaty, taki był straszny, że kobiety ze strachu płakały. A chłopci nic, jeno mówili: »o, już nie będziesz z nas kawałkami darł skórę, już cię ten wysadził na belek!« Za dzień czy dwa dni potem taka zerwała się burza, takie dęły wiatry, że drzewa z korzeniem wyrывało, a z chat strzechę zrywało...

— To jeszcze na starem cmentarzysku pokazują ludzie groby Basarabów. Byli pogrzebani za okopem, nie na samym cmentarzu. A we wszystkich grobach i za starym i za nowym cmentarzem spoczywają sami Basarabi.

— A wy myślicie, że ksiądz ma prawo takiego grzebać na cmentarzu? Abyś dawał cały

majątek, to nic nie pomoże. Skądże takiego wykłętego pchać między ludzi!?

— No, no, teraz Basarabi pospuszczają głowy. Będą-ci chodzili czarni i nieweseli.

— Oby ten nie pociągnął za sobą więcej, bo to ich wszystkich ciągnie. Patrz, jeden zdzierzgnął się, patrz, a już ich dziesięć się nastawiło. Wszyscy związani jednym losem. Niedola wszystkich ich na jednym sznurku prowadzi...

— To do siódmego pokolenia będzie ich tak dusiło, a jak siódme pokolenie minie — i siły też braknie. Pewnikiem któryś dobrze musiał się przed Bogiem zasłużyć. To kara, ludzie, aż do siódmej kostki prześladowe! Bóg niema większej kary na ziemi...

— To po nich poznać, że ich Bóg karze. Bo i majątki im daje, oni bogacze, i rozum im daje — a naraz wszystko zabiera i na belek wysadza.

— Wystarczy jeno zajrzeć im w oczy. To nie oczy, to taka czarna rana w czole, co żyje i gnije. U jednego takie, jak przepaść, popatrzy

i nic nie widzi, bo to oko nie do patrzenia. A u drugiego jedno tylko żyje, a zresztą sam kamień — czoło kamień, twarz kamień, wszystko. A ten Tomasz, niby się patrzy kiedy na człowieka, jak się godzi? Wzrok niby na ciebie skierowany, a gubi się gdzieś w sobie, w o-tchłani bezdennej.

— Patrzy się oko na ten grzech dawny, który ściąga na nich karę. On tam u nich we wnętrzu umieszczony, aby wszyscy nań patrzali i aby nie mieli spokoju, lecz pokutowali.

— Ci Basarabi na ludzką⁸¹ rodzą się poprawę, wzbogacają się i duszę oddają na potępienie.

— Grzech wielki⁸² ciąży na ich rodzie i muszą go dźwigać, chociażby wszyscy mieli zginąć!

— Grzech, ludzie, grzech bez śladu nie ginie, jeno musi być okupiony: przejdzie na dziecko, schodzi na chudobę, podpala stogi, gradem spada na zieloną niwę, odbiera⁸³ duszę człowiekowi i oddaje ją na wieczne potępienie...

Kobiety słuchały i mało nie zęgały się, dzieci posiadały pomiędzy niemi, a mężczyźni

jeszcze długo o grzechach gawędzili, poczem potoczyli się do karczmy.

II.

Wszyscy Basarabowie zebrali się u Szymonowej Basarabowej, gdyż była najstarszą i najbogatszą w ich rodzinie. Tomasza także przyprowadzono. Szymonowa przygotowała jadło i napitek i obsadziła wielki stół krewnymi, a Tomaszowi kazała siadać na pierwszym miejscu.

— Tomaszu, nie płacz już, dość dla ciebie; siadaj i weselmy się, żeśmy wszyscy razem. Siadajcie moi krewni, niechaj z wami szczęście siada. Gdyby żył Szymon, onby umiał was prosić i siłować. Mikołaju, czy pamiętacie, jak wam flaszkę z wódką rozbił na czołe i pierogi psom wyrzucił, gdyście z nim pić nie chcieli.

— To nie było, babuniu, żartu z dziadkiem; albo pij albo giń.

— Do ciebie się napiję, Tomaszu, boś mi najmiłszy! Niech się upiję. Babie nie trzeba dużo, by »panieńską» zaśpiewała.

— Ej, Tomaszu, Tomaszu, gdybym w twym wieku była! Nuże, pij, nie spuszczaaj oczu pod stół. Gdybyś ich nie spuszczał, lecz patrzył w górę, lżej byłoby ci na duszy. Pij, do wuja Mikołaja..

Stała za stołem wysoka, siwa, prosta. Oczy miała wielkie, sine i rozumne. Patrzyła niemi tak, jak gdyby na całym świecie nie było takiego kąta, którego nie znałaby, i w którym, zakasawszy długie, białe rękawy, nie zrobiłaby porządku, jako prawdziwa gospodyni..

— Babuniu u was dobrze jeść i pić, bo lubo milczycie, oczy wasze proszą.

— Wszak mam oczy, aby śmiać się i żartować. Nie mam ich i macierz mi ich nie dała, aby płakać. Obyście z ócz swoich przepędzili tę czarną mgłę, co wam świat zaciemnia. W moich oczach są dziatki moje, pole moje i chudoba moja i stodoły moje, więc pocóż mam się smucić? Jak przyjdzie smutek, to się wypłaczę, wyszlocham i obetnę.

— Nie każda natura jednakowa, babuniu. Jest taka, że choć ją miodem karm, choć ją

wśród najpiękniejszej wiosny puść na pola zielone — wciąż płakać-ci będzie.

— Ej, Basarabi, Basarabi! Nie macie dzieci, nie macie niw, chudoby! Jeno czarną mgłę, ułudę i długą czarną czuprynę, co wam słońce zasłania. I Bóg was karze, bo winniście patrzeć na jego słońce, cieszyć się waszemi dziatkami i zielonym kłosem muskać twarz wesołą. Tomaszu bierz-no, nie gniewaj się na babę. Baba cię do chrztu nosiła, baba płakała, jak cię do wojska wyprowadzali, baba na twojem weselu kostkami dzeleżała. Baba wam nie wrogiem. Ale za to, żeś duszę chciał potępić, za to się na ciebie gniewam. Lecz naprzód zjedzcie, com nawarzyła, bo nadarmo nie chcę pracować, a potem pogawędzimy.

— Krewniacy moi szlachetni i poczcwi, cie-szę się wami, jak nie wiedzieć czem, bo nie zaspominacie o mnie, bo mnie kochacie, pijecie za moim stołem i piękne słowa mówicie!

Na twarzach gości ukazały się blaski szczęścia, tak, jak czasem promienie słońca zamigocą na czarnym, głębokim stawie. Oczy wszystkich

rozwarły się szeroko i spoglądały na staruszkę.

— Ej, Basarabi, patrzcie, patrzcie, ile oczu, a ze wszystkich przeziera jeno smutek i tęsknota!

— Babuniu, tak nie mówcie, wszyscyśmy zadowoleni z waszych słów, jak gdybyśmy słodkie wino pili. Myby was, babuniu, po kolei brali do chat naszych, bo nam z wami byłoby wesoło.

— To ja, stara, mam wam chatę rozwese-
lać? A wasze żony gdzie, czyż nie kwitną!?
Wszak wam koszule wyszywają i dziatkom
główki zmywają? Ale wy nic nie widzicie, bo-
ście ślepi. Bóg was ukarał ślepotą..

— Babuniu, pozwólcie przecie niech wsta-
niemy od stołu i zakurzymy sobie lulki, bo cze-
goż siedzieć będziemy, skoro trunki nam już nie
smakują?

— Wstawajcie, wstawajcie i kurzcie, a ja
sięde sobie koło Tomasza i będę się go pytała,
co za ciężar gniecie jego duszę.

III.

Tomasz był to człowieczek mały, suchy, z długą czarną czupryną, co spływała mu łagodnymi, gładkimi pasmami na szerokie czoło. Oczy jego ciemno czarne błędziły pod czołem, jak po bezgranicznych równinach i ścieżki sobie na nich znaleźć nie mogły. Oblicze smagłe, przestraszone, niby dziecięce. Wysunął się z poza stołu i usiadł sobie koło starej Szymonowej.

— Opowiedzino nam, Tomaszu, czemu ci tak ciężko żyć na świecie, czemu chcesz porzucić dziatki swoje, żonę swoją i rodzinę? Nie wstydz się, jeno powiedz, co cię gniecie, a może ci na to co poradzimy albo pomożemy?

Wszyscy objęli wzrokiem Tomasza.

— Powiedz nam, powiedz przecież, nic nie ukrywaj, a pewnikiem łżej ci będzie.

— Niema co ukrywać — odrzekł Tomasz — ukrywałem, póki mogłem, a teraz wszyscy już wiecie.

— Nic nie wiemy, powiedz, bo jak nie powiesz, będziemy myśleć, że żonę masz złą albo

dzieci ci się nie udały albo my ci czem dogodzili. Miej litość nad nami. Wszak wiesz, że jak jeden w naszej rodzinie zginie nie swoją śmiercią, to zaraz za sobą drugiego ciągnie. A może między nami jest już taki, co dowiedziawszy się o twojej przygodzie, postanowił także życie sobie odebrać? — powiedział siwy Łeś.

Basarabowie, gdyby winowajcy, pospuszczali oczy.

— Tomciu, uspokój się, nie płacz, nie płacz...

— Nie wiem skąd i jak, ale jakieś nieczyste myśli napływają mi do głowy i nie dają spokoju. Ty swoje, a myśli swoje, przecierasz oczy, chcesz odegnąć, a one jak psy skowyczą ci koło głowy. Z dobrobytu, ludzie, nikt pętlicy nie zarzuca sobie na szyję!

— A gdy obsiedą cię takie myśli, czemu nic żonie nie powiesz, czemu do cerkwi nie pójdziesz?

— Na co, babuniu, jak przybieżą, to nie puszczają mnie na krok od tego miejsca, gdzie chcą mnie przywiązać. Oj, żebyście wiedzieli,

żebyście wiedzieli! One tak mi dokuczają, że niema w całym świecie takiego łańcucha, by się tak wżerał w ciało. I słyszę jak brzęczą mi koło uszu... Jak poczną tak brzęczyć — głowa pęka mi na czworo i uszy gdzieś rozwierają się, jak usta, i lubią słuchać tej muzyki. A w nocy, gdy się obróć i zatkam sobie jedno ucho, zaraz drugie się otwiera — i trze mi coś kości w głowie. Nakrywam się poduszką, a to coś po poduszce bije tymi łańcuchami. I niby mówi, niby łopatą ledziutko w samą głowę wsuwa słowa: »a idź, a idź-że, tak ci dobrze ze mną będzie, tak dobrze«. A ja imam się pościeli i jej się trzymam aż ból w rękach odczuwam, jak gdyby kto ciało moje rwał kawałkami...

— Po co mówisz, po co przypominasz? — szorstko odezwała się Tomaszowa.

— Nie lękaj się, żono, bo teraz one mnie opuściły, teraz tak mi lekko, jakbym co ino na świat przyszedł. Ale chcę wam opowiedzieć o mękach tego, co sobie życie odbiera. Taki człowiek musi być zbawionym, bo jeszcze za

życia nieczysta siła duszę mu zabiera, taki tak, że zabiera. Ona szarpie ciało jego, rozsuwa żebra, by się do duszy dostać, by ją stamtąd zabrać. A jaka to męczarnia, jaki lęk, jaki ból! Za takie katusze człowiek taki dałby sobie uciąć nogę albo rękę!

— A jak to nieczyste ciebie po nocach nagabuje, gdzie cię chwyta?

— To najsamprzód czuje się, że przyjdzie, bo ono nie pyta się ani dnia, ani nocy, ani słońca, ani chmur. Wstajecie rano, pomodlicie się Bogu i wychodzicie na dziedziniec. Stoicie na progu i kamieniejecie. Słoneczko świeci, ludzie koło chat gwarzą, a wy stoicie. Czego stoicie? A dlatego, że was coś lekko żgnęło w bok głowy. To coś z głowy wędruje do gardła, z gardła do ocz, a z ocz do czoła. I już wiecie, że ma się ukazać czarna chmura gdzieś z poza gór, z poza czystego nieba, gdzieś z za słońca. Nie możecie powiedzieć skąd wiecie, że ona przybieży, ale już za trzy dni nadśluchiwać będziecie jej szumu i czekać będziecie kiedy zaczernieje na niebie. I puszczacie za nią wszy-

stek rozum, on ucieka od was, podobnie jak pastuch, co owce ostawia, i pozostajecie sami, a lęk bierze się was i boicie się wyrzec słowa jednego. Zawrą się wam zęby i oczekujecie.

— Wiem, Tomaszu, rozumiem, tak samo tak — odezwał się Mikołaj Basarab.

— Mikoło, czyś oszalał, czy co cię napadło?!

— Ja tylko tak...

Basarabowie z niedowierzaniem popatrzyli się na Mikołaja i umilkli.

— Ludzie, nie lękajcie się tego, co Tomasz opowiada, bo jak wam rozpowie, będziecie już wiedzieli, jak się to nie c z y s t e czepia chrześcijanina. Bo to gdzieś jeszcze wasz pra-pradziad bił się z Turkiem i zamordował siedmioro dzieciątek, natknął na lancę tak, jak kurczęta, i Bóg go za to ukarał, bo zaraz zaprzestał wojować i chodził z temi dziećmi trzynaście roków. Niby nie chodził, bo pogniły, ale zawsze nosił tę lancę i wciąż mu się zdawało, że owe dzieci nosi. Z niego przeszła kara na innych Basarabów. To jeszcze jak wychodziłam za Szymona, rozpowiadała mi macierz i doradzała, bym nie

szła zań zamaż. To za ten grzech za owe dzieci wy pokutujecie, ale to się trafia między nami tylko gdzieś nie gdzieś. Nie każdy Basarab nosi ten grzech, Bóg jeno jednemu kładzie go w sumienie. Dlatego nie truchlejcie, a co Tomasz mówi, zapamiętajcie sobie i wiedźcie, jak to grzech grasuje, póki go się nie okupi. Bo ciało wszystko zniesie, po niem niczego nie poznać, ale sumienie toczy. To poznać na drzewie, na takim wielkiem, co czołem chmur dosięga. Rozkłójesz go, a tam sama czerwocina, robaka nie widać, nigdy go nie zobaczycie, a drzewo stoczone raz koło razu. Tak także sumienie ród toczy.

— Sumienie toczy, a to kara nad karami.

— Rozpowiedz przecie, Tomaszu, jak ono ciebie toczy. Nic nie pomoże, trzeba wysłuchać.

— Ono toczy, ale mówi za co. Bo gdybym zabił albo podpalił, wie za co. Ale jam niewinny, a ono karze. Jak taka chmura złopocze pod niebem, wtedy przychodzi czas na samobójstwo. Idziecie koło wody, a ona was wabi, całuje, obejmuje, po czole muska, a czoło, powiadam

wam, czerwone jak żar, jak żar. Wskoczylibyście do tej wody, jak do nieba. Ale nie wie-dzieć skąd powstaje w głowie słowo: »uciekaj, uciekaj, uciekaj!« I odpędza was stu końmi od tej wody, zabiera z piersi wszystką parę, a głowa trzaska, bo szaleje. Aż teraz szaleje. Spojrzycie na wierzbę i znowu chwyta. Ręce się weselą, aż skaczą i bez was, bez waszej przyczyny, tak same. Chwytają się gałęzi, starają się wy-próbować siłę swoją, a wy tak, jak gdybyście na boku się przypatrywali, niby wy nic nie robicie, jeno ręce. I znowu nadbieży słowo: »uciekaj, uciekaj!« Ręce obsypują się ogniem, opadają, jak gdyby uschły i znowu uciekacie. Jak zobaczycie żonę albo dziecko, zda się wam, że także krzyczą: »uciekaj!« I mówicie do nich i śmiejecie się, a wszystko w ten sposób jakoś się dzieje, jakoby nie ja mówił coś popycha tam, gdzie niema ludzi. Dochodzi wreszcie do tego, że wam się przypomina gruszka, co dzieckiem jeszcze ją widzieliście. Gdzie jaki klin, gdzie jaki hak, jaki belek, wszystko wam się przypo-mina. I pędzi ono człowieka w tysiączne strony,

i nie wiedzieć kędy iść. A potem was opuści, w jednej chwili opuści. Minie godzina albo dwie albo dzień i znowu przychodzi. Serce zastyga, oczy płaczą, tak płaczą, aż wyciekają. Ale ani łez nie widać, ani płaczu nie słyszeć. I znowu was prowadzi i ponownie morduje. Nieraz wypijałem całą kwartę gorzałki i połykałem z pieprzem jedną po drugiej, aby przegryzło, ale nic nie pomagało...

A wczoraj to mnie tak już przycisnęła nieczysta siła, że całkiem utraciłem rozum, oczy i ręce. W samo południe przyszła. Gdy ukazała się, pokazała belek w »kosznicy«. Każdy pyłek na nim pokazała, każdy sęk. I nie opierałem się już, bo było niemożliwym, jeno odwiązałem sznur od żłobu i zaszedłem do »kosznicy«. Było mi tak przyjemnie, tak lekko! Zarzuciłem sobie ten sznur na szyję i próbowałem, czy udziarzy i zaraz wpadłem na to, jak się zaciąga pętlicę i jak się w górę podciąga. Dziś sam się dziwię, jak spokojnie i wesoło odbierałem sobie życie. Ale dziś, dzięki Bogu dobrze mi i jestem taki rad, taki rad...

Basarabowie, niby usnęli snem dębowym.
— Grzechy, ludzkie, grzechy. Trzeba Boga
ubłagać.

— Doktorzy mówią, że jest taki nerw, co
tak choruje jak człowiek. On żyje gdzieś w czło-
wieku i odbiera rozum, jak zachoruje.

— Et, co doktorzy wiedzą!

IV.

— Słuchajcie, a wyjdźcież-no za Mikołą,
gdzie się podział — mówiła Symonowa.

Basarabowie wzdrygnęli się; żaden z nich
nie ruszył się z miejsca. Potruchleli.

— Wyjdźcież przecie za Mikołą, mówię...
Dokąd on poszedł?

Kobiety rozplakały się. Basarabowie pozry-
wali się i wyszli razem na obejście.

— Cicho, cicho, kto wie jeszcze, nie róbcie
krzyku...



SEN.

Spał twardo.

Las szumiał, jęczał... Pólszepty odrywały się od gałązek i spadały razem z zamarzniętym szronem. Niby maleńkie dzwonki spadały.

Wiatr wył jak pies bezdomny.

Niebo czyste, zdrętwiałe. A na niem księżyc jasny, jak na Boże Narodzenie.

Tretylnyk spał twardo. Głowę oparł o własną kupę kukurudzy, a nogami dotykał dwu pańskich. Czarne włosy posiwiały od szronu, ruda siermięga pobieliała, silne ręce nie czuły zimna, twarz, smagana wiatrem, nabrała koloru cegły.

Mówił we śnie i za każdym słowem z ust wypuszczał snop białej pary. Głos jego biegł

z wiatrem do lasu i długo mocował się z każdym drzewem.

— Nie ruszaj tego, bo to zapracowane! Bierzesz odemnie? Toś znalazł bogacza...

Podniósł pięść w górę, ale opadła bezsilnie na suche łodygi.

— Mogę pracować, bo mam silne ręce jak końskie kopyto... Uderzę raz i już po tobie!

— Ziemię całuj, którąś stąpisz, bo ona czy twoja, czy cudza, żywi ciebie; swoja rodzi i cudza rodzi... Pewnie, że prawda, pewnie! Grunt dla ciebie wszystkim, gdy twój, on ciebie zagrzeje, nakryje, nakarmi i cześć ci przyniesie...

Kaszłał, jak gdyby dał do dużej trąby.

Jak swojej nie masz niwy, nie masz kędy chodzić, nie masz po czym... Niema, niema, oj, niema...

Podłożył pod głowę kułak.

— Długo biedziłem na cudzem polu. Ale Bóg mnie pocieszył, daj Boże tak każdemu. Wziął i dał. Na tobie, mówi, szczyptę ziemi,

ale jej nie zmarnuj, trzymaj... Zębami ją dierz,
kochaj, jak gdyby żonę, która ci się udała...

Kapelusz spadł mu z głowy i potoczył się
z wiatrem.

— Słuchaj, Tanasku, a zrzuc-no kapelusz,
przecie pierwszy raz tej wiosny wyszedłeś w pole
— tak się godzi... Jak Bóg da — będzie psze-
nica. Upieczemy kołaczki i obdarzymy takich,
co niemają upiec z czego... Damy, damy, jak
Bóg da, trza drugim dać...

Położył się na wznak.

— Miedza też pragnie kłós urodzić, bo mie-
dza także jest ziemią, ona nawet jest lepszą...
Ostawię ci po śmierci... Patrz, jak obrus rów-
niutka, jeno czarna. Nakryję ci tym obrusem
stół w polu, będziesz miał co jeść i będziesz
dziękował Bogu, żeś takiego miał ojca...

— Wiosna śliczna, patrz, órz sobie, nie rób
skaz, a woły napój i wracaj przed zachodem
słońca, bo za chudobę większy grzech, niż...

Obudził się i słyszał jeszcze ostatnie słowo
swoje, co w półśnie wyrzekł. Popatrzył się na

niebo, potem obrócił się, pomacał dłonią po gołych piersiach i zęgnął się.

— Takie-ci zimno na początku jesieni? Jeszcze cię śnieg tu przysypie.... Na dworze zimno, a mnie taka piękna wiosna się prześniła. Hej, Jakóbie, łuszcz kukurudzę, gdzież tyle spać!...



KLONOWE LIŚCIE.

I.

Pościel zarzucona płótnem, koło stołu na tylnej i przedniej ławie zasiedli kumowie, na kraju pieca rzędem dzieci. Pospuszczały rękawy jak stado przepiórek, co spoczywają, ale zawsze do lotu gotowe. Kumowie za to siedzieli, jak wryci, tylko rękoma sięgali po chleb albo po kieliszek gorzałki, ale i ręce najchętniej nie ruszałyby się, tylko zgięte w kułak spoczywałyby na kolanach. Niechętnie brały chleb i kieliszek. Kaganiec blado świecił na przypeicku i potworzył z kumów wielkie, czarne cienie i rzucił je na powałę. Tam one się połamały na tragarzach i także się nie ruszały.

Koło stołu stał schylony Iwan, gospodarz w tej chałupie i ojciec niemowlęcia, które ochrzczono.

— Bądźcie łaskawi, moi kumowie, i pozwólcie jeszcze po jednej. Choć to nie gorzałka, jeno błoto, ale z chłopem, to tak jest: co gdzie w świecie najgorszego, to on to ma spożyć, co gdzie w świecie najcięższego, to on to ma zrobić...

— Na to jesteśmy zrodzeni — odpowiadali kumowie. Kiedy kieliszek obszedł kolejką, Iwan kładł go dnem przy flaszcze, z obawy, aby nie upadł na ziemię.

— A zakąście... I patrzcie jaki kłopot spotkał mnie w same żniwa, w sam ogień. A ja, dalibóg, niewiem co z tego będzie? Czy mam zostawić robotę w polu, pielęgnować żony i dzieciom jeść warzyć, czy mam ich tu zostawić Bożej opiece i o głodzie ciągnąć kosą? To już, zdaje się, tak się stanie, bo w taki czas nikt nie przyjdzie do mnie do chałupy, choćby za wielkie pieniądze. Naści, Iwanie, dziecko i ciesz się, bo jeszcze ich masz mało!

— Nie narzekajcie, kumie, i nie gniewcie Boga, bo to Jego wola, nie wasza. A dzieci — piana na wodzie, coś na nie zajdzie — i wszyscyutkie na cmentarz zaniesiecie.

— U mnie nie zajdzie, ale tam gdzie jedno jest, tam zajdzie. Żebrak najlepiejby zrobił, by się nie przytulał do żony, by nawet nie spojrział w tę stronę, gdzie żona! Wtedy i Pan Bóg nie da...

— Kumie, darmo tak gadacie, tak nigdy nie będzie, bo ludzie mają się płodzić.

— Żeby to płodzili się ludzie, ale to żebraki. A ja dlatego powiadam, że ty, żebraku, nie mnoż się jak mysz, ty bądź zadowolony, jak masz łach na grzbiecie, jak masz kawałek chleba, abyś nie był, głodny i jak po twarzy nikt cię nie bije. Jak te trzy rzeczy masz, to ci powinno być dobrze, a od żony z daleka.

— Kumie, Iwanie, dajcież spokój, bo żona, jak zwyczajnie, w takim razie, nie powinna tego słuchać, bo to nie przyczyni jej zdrowia. Kiedyś innym czasem.

— Ja was bardzo przepraszam, że tak mó-

wię, ale wy myślicie, że ja o nią, albo o siebie dbam? Dalibóg, nie dbam, niech ich, choć zaraz dyabli wezmą i mnie z nimi! Ou-wa, tobyśmy raj utracili na ziemi i majątki zostawili!

Kumowie nie odzywali się już i nie przeczyli, bo widzieli, że nie przekonają Iwana, i chcieli, żeby się prędzej wygadał, to prędzej ich puści do domu. Iwan wstał od stołu, stanął na środku izby, opuścił rękawy tak, jak dzieci na zapiecku, i zaczął do nich mówić:

— I czemu nie spadniecie mi z głowy? Ja wam otworzę i drzwi i okna, haj!...

Dzieci zasunęły się za piec tak, że ich już nie było widać.

— Patrzcie, szarańcza, jeno chleba, chleba i chleba! A skądże ja-ci tego chleba wezmę?! Ta na ten dwunasty snop nie raz trzeba kosą pociągnąć, nie raz się schylić, a tu z boku ogień-ci się za pazuchę sypie. Ta cię każde żdźbło w serce kole!

To było do dzieci, a teraz zwrócił się do kumów:

— A wieczór jeno pokażesz się w chałupie,

taki, jak wiecheć, jak ta pomyjka spocony, a one-ci zaraz w jeden głos, i żona i dzieci: niema chleba! I ty biedny człeczko nie idziesz spać, ale zdejmujesz cep, i młócisz w pociemku, żeby jutro było co w żarna nasypać. Nieraz cię ten cep na snop zwali, i drętwiejesz we śnie aż do rana, aż cię rosa przysiędzie. I ledwie oczy przetrzesz, to cię zaraz ta rosa żre, bo mało cię już bieda żre, jeszcze cię ona w nocy najdzie! Przemywasz oczy i wleciesz się na łan, a takiś czarny, że słońce mierzchnie od ciebie.

— Iwanie, nie martwcie się dziećmi, bo to nie jeno wy, ale Bóg im starszym od was ojcem.

— Ja się z Bogiem za barki nie biorę, ale po co On to wypuszcza na świat, jak gołego w ciernie? Puści na ziemię, talentu w ręce nie da, manny z nieba nie ześle, a potem cały świat krzyczy: chłopci złodzieje, zbójcy, rozbójnicy! Stanie sobie jeden z drugim w cerkwi, taki gładki, że mucha po nim nie polezie, i kładzie i łaje! Wy, powiada, dzieci swoich strachu bożego nie uczycie, wy je sami kraść posyła-

cie... ej, gdzie ja potrafię tak hańbić! Ha, gdyby tak koło mego dziecka i mamka i niańka i do-brodziejka chodziła, gdyby mi tak ludzie wszy-stkiego naznosili, to i ja bym, jegomość, wiedział jak uczyć dzieci! Ale moje dzieci rosną w bu-rzanach razem z kurami, a jak co do czego przyjdzie, ot jak i teraz, to nikt nie wie, co one cały dzień jadły. Czy kradną, czy żebrzą, czy pasą, a skąd ja wiem? Ja koszę wasze łany i zapominam nie tylko o dzieciach, ale i o sobie! Wybyście chcieli, żebym i wasze łany obrobił i dzieci uczył. A wy od czego? Tak, ludzie, wy sami wiecie, jakie to nasze życie...

— Wiemy, kumie, wiemy, jak nam nie wie-dzieć, kiedy nam samym tak się żyje.

— Ja patrzę na dziecko, ale nie myślę, żeby ono było grzeczne, żeby umiało w ład utrafić. Ja tylko podpatruję, czy ono już dobrze po ziemi łązi, aby je wypchnąć na służbę — oto czego czekam. Ja nie czekam, aż ono nabierze siły, aż rozumu nabierze, aż się rodziną nacie-szy. Niech jeno bogacz albo pan usta otworzy,

to ja tam zaraz zapcham, byle się tylko zbyć. A potem ono biega za chudobą — nogi: jedna rana, rosa żre, ściern kłuje, a ono skacze i płacze. Ty zawróciłbyś mu chudobę, nogi byś mu wycalował, boś je spłodził i sumienie cię gryzie, ale ty je mijasz, albo czasem i chowasz się przed niem, żebyś jego płaczu nie słyszał..

Aż poczerwieniał, aż się zadyszał.

— I rośnie ono w żłobie, pod stołem albo i pod ławą, gryzie kułaki i zmywa się łzami. A podrośnie, to i ukradnie co, bo ono nigdy nie zaznało dobra i chce się nacieszyć kradzionem. I masz — zaraz do cię przychodzi żandarm. Skuje cię, nabije się ciebie, jakbyś bydłciem był, boś ty ojcem złodzieja i musisz być z nim w zmowie. I jużes złodziej na wieki! Ale na tem nie koniec. Niechby tam syn, wasze dziecko, a u ludzi złodziej, zgnił w kryminale. Ale oni zdrowie mu odbiorą i do szpitala go dadzą, a potem wysyłają pismo do wójta, żeby ojciec płacił kosztą. Z chałupy wyganiają, pod płót wyrzucają z bebechami. Idziesz do wójta, po rękach go całujesz: wójcie, wyciągnijcie mię

z tego nieszczęścia. Ty — powiada wójt — biedny człowiek, to możnaby ci opuścić, ale jaką ja będę miał wygodę za twoją wygodę? Ruszysz plecami, złożysz się, jak scyzoryk: miesiąc wam będę darmo robił... Tak, czy nie tak, ludzie, prawdę gadam, czy breszę jak pies?!

— Wszystko tak, cały gatunek taki, jedno-goście słowa nie zmylili!

Iwan drżał cały, czuł na sobie cały ciężar swoich strasznych słów.

— Żebyście nie mówili, ludzie, że kraczę nad głowami swoich dzieci, jak kruk nad padliną; nie myślcie tak ludzie, nie myślcie! Ja nie kraczę, ja mówię prawdę, mój żal kracze, moje serce kracze!

Oczy jego zabłyśły i odmalowała się w nich straszna miłość ku dzieciom — szukał ich wzrokiem po izbie.

— Bo to tak wygląda, jakby ja się pastwił nad swojemi dziećmi gorzej, niż największy wróg. A ja się, widzicie, nie pastwię, ja jeno pokazałem wam dzień dzisiejszy i wczorajszy, i rok i drugi, i popatrzyłem się na swoje dzieci,

co one tam robią? A com ujrzał, tom powiedział. Poszedłem do nich w gošcinę, i krew moja zastygła na ich gospodarstwie...

Po chwili.

— Żeby to do tej Kanady m6rż nie było... to jabym je do wora zabrał i piechotą bym z niemi szedł, żeby je zanieść daleko od tej nędzy. Jabym te morza brzegami obchodził...

Kumowie zapomnieli o odpoczyнку, ale zaraz przypomniałi sobie, powstawali czemp prędzej i poszli.

II.

Rano.

Dzieci jadły na ziemi śniadanie, strawę oblewali k6szule i szczękały łyżkami. Obok nich leżała matka wychudła i żółta, z kolanami pod piersią. Po czarnych, nieczesanych włosach spływała męka i ból; zaciskała wargi, żeby nie krzyczeć. Dzieci z łyżkami w ustach zwracały się ku matce, patrzyły na nią i znów do miski się obracały.

Semenku, jużś nie głodny?

— Już, — odpowiedział sześćioletni chłopiec.

— To weź miotkę, pokrop ziemię i zamieć izbę. Mama nie może się schylać, bo ją we wnętrzu bardzo boli. Nie rób kurzu.

— Ustąpcie się, bo nie mogę przez was zamiatać.

Matka dzwignęła się i zawlokła na pościel.

— Semenku, a teraz umyj się pięknie, i Kasia i Maryna niech się też umyją i pobiegnij wody do dzbanka zaczerpnąć, ale żebyś nie wpadł do studni, nie schylaj się bardzo...

— Semenku pójdź i narwij ogórków do rzeszota, żeby mama w garnku zakwasiła, bo widzę, że będę chorą i nie będziecie mieli co z chlebem jeść. Narwij także chrzanu i liścia wiśniowego. A nie szarp badyli, jeno rwij przy samym ogonku...

— Semenku, zdejm z grządek koszulki, żebyśm polatała, bo chodziecie czarni, jak wrony.

Semenko wciąż biegał, robił wszystko, co mama kazała i potraçał raz po raz młodsze sio-

stry, mówiąc, że dziewczki nie umieją nic, jeno jeść.

— One jeszcze małe, Semenku, jak urosną, to ci będą koszule prały.

— Ja się najmę, to tam mi będą koszule prali, a ich nie potrzebuję.

— Nie ciesz się, dzieciно, służbą, bo nieraz dnie swe będziesz optakiwał.

— A przecież tato wyrośli na służbie i nic im nie brakuje.

— I ty wyrośniesz na służbie, aż skóra na tobie popęka od tego wyrostu. Ale ty, Semenie, nie gadaj, jeno zbieraj się ojcu nieść obiad. On tam musi być taki głodny, że oczy chce za tobą wypatrzeć.

— Ja muszę wziąć kij taty, żeby się od psów obronić.

— A jak zgubisz, to nas tato oboje wybije. I nie idź z gołą głową, ale weź choć kapelusz taty.

— Ten kapelusz ino na oczy lezie, że drogi nie widać.

— Wymyj dzbanek i nalej barszczu.

— Już wy mnie, mamó, nie uczcie, bo ja wiem.

— Semenku, a uważaj, żeby cię psy nie pokąsały...

III.

Drobił nóżkami po grubej warstwie prochu i zostawiał za sobą ślady maleńkie, gdyby drobne kwiaty białe.

— Fi, nim zajdę, to porządnie mnie słońce wyparzy. Ale ja sobie włosy zbiorę tak, jak żołnierz, i będzie mi lepiej iść.

Położył obiad na drodze, i zebrał włosy na wierzch głowy, aby je przykryć kapeluszem i wyglądać jak ostrzyżony żołnierz. Oczy się śmiały, podskoczył i potoczył się dalej. Lecz włosy zsunęły się z pod szerokiego kapelusza na kark.

— Na nic ten kapelusz, niech no ja się najmę, to-to wtedy kupię sobie kapelusik...

Oblizął się tylko. Uszedł szmat drogi i znów postawił obiad na ziemię.

— Wymaluję sobie wielkie koło ze sprychami.

Siadł w prochu na środku drogi i kreślił dookoła siebie kijem, a potem w kole rysował promienie. Wreszcie zerwał się, skoczył poza obwód i pobiegł dalej bardzo ucieszony.

Do każdych wrót się zakradał, zazierał, czy na podwórzu psa няма, i dopiero wtedy przebiegał prędziutko. Z jednego obejścia wybiegł pies i puścił się za nim. Semenکو ze strachu wrzasnął i siadł razem z obiadem. Kij upadł także na ziemię. Długo siedział skulony, czekając psa, żeby kąsał. Potem odważył się spojrzeć i zobaczył nad sobą psa czarnego, który stał przy nim spokojnie.

— Na, na, cygan, masz kuleszy, a nie kąsaj, bo to bardzo boli, a twój gazda będzie musiał śtrof zapłacić. To on ci nogi połamie za ten śtrof.

Szczypał z kuleszy po kawałku, rzucał psu, i śmiał się, że ten chwyta w powietrzu. Pies miał pysk otwarty i on sobie też usta otworzył.

— A ty czyj, szubienniku, co psy po drodze karmisz, a w pole co poniesiesz?

I jakaś kobieta uderzyła go w kark dłonią.

— Jakże to, jeszcze mnie bijecie, jak pies mnie chciał rozedrzeć!

— A czyjże ty taki grzeczny?

— Ja Iwana Piotrowego, ale mama mieli dziecko i słabi, a ja muszę nieść obiad, a mnie psy kęsa, a wy mnie jeszcze bijecie...

— Oj, bardzo cię biłam... Gdzie-że ty jeść niesiesz?

— Tatowi niosę, na łąk, koło stawu.

— To chodź ze mną huncwocie, bo ja tam obiad niosę.

Poszli razem.

— A kto warzył obiad?

— Mama warzyła, bo ja nie umiem jeszcze, a Maryna i Katarzyna, to jeszcze mniejsze odemnie.

— To mama nie słabi?

— Czemu by nie słabi? Tak się wiją po ziemi, tak stękają, że aż!... Ale ja za nich robię.

— O, — jaki robotnik!

— Wy nie wiecie, i tak gadacie. A no zapytajcie się mamy, jaki ja mądry! Ja cały »ojczenasz« umiem.

Kobieta roześmiała się, a Semenko ruszył ramionami i zamilkł. Za nim biegł pies, a on mu niby to rzucał kuleszy i wabił za sobą.

IV.

W trzy dni później.

Na środku izby siedział Semenko i siostry, i stało korytko z niemowlęciem. Przy nich miska z zielonymi, w talarki pokrajanymi ogórkami i chleb. Na pościeli leżała matka, obłożona zielonemi, wierzbowymi gałązkami, a nad nią brzęczał rój much.

— Najedzcie się, i siedźcie cicho, bo ja poniosę dziecko do Wasyliczy, żeby nakarmiła. Tato kazali, żeby nieść rano, w południe i pod wieczór, a wieczór oni sami już przyjdą.

— Semenku, a nie przełam dziecka.

— Ja myślał, żeście spali. Tato kazali wam dawać zimnej wody i bułkę do jedzenia. Ma-

ryna taka grzeczna, że porwała tę bułkę i już raz ukąsiła. Alem ją nabił i odebrał. Będziecie jedli?

— Nie chcę.

— Tato ukręcili jeszcze świeczkę i mówili, że jak będziecie umierać, to żeby wam dać do rąk i zaświecić. Kiedy ja nie wiem, kiedy dać...

Matka popatrzyła na syna wielkimi, błyszczącymi oczyma. Bezdeń smutku, wszystek żal i bezsilny strach zeszły się razem w tych oczach i urodziły duże dwie łzy białe. Wybiegły na powieki i zamarzły.

— Tato rano w sieniach też płakali i bili w odrzwia głową. Zapłakani wzięli kosę i tak poszli.

Wziął dziecko i wyszedł w pole.

.

— Semenku, żebyś nie dał Katrusi, Maryny i Wasylka bić macosze. Słyszysz? Bo macocha będzie was biła, od miski odganiała, i nie da wam białych koszulek.

— Ja nie dam i tatowi będę mówił.

— Nie pomoże nic, synku mój najmilszy, dziecino moja najzłotsza! Jak wyrośniesz, że-

byście się między sobą bardzo kochali, bardzo, bardzo!... Żebyś im pomagał, żebyś nie dał krzywdzić.

— Jak ja będę służył, i będę duży, to ich nie dam, ja będę do nich co niedzieli przychodził.

— Semenku, abyś prosił taty, że mama nakazywała, żeby was kochał...

— Jedzcie bułkę.

Śpiewaj dziecku, niech nie płacze.

Semenko kołysał dziecko, ale śpiewać nie umiał. A matka otarła dłonią suche usta i zaśpiewała.

W słabym, urywanym głosie wylewała się jej dusza i po cichutku spadała między dzieci, całując je w główki. Ciche, niewyraźne słowa goworzyły, że po pustem polu rozwiały się kłowne listki, i nikt ich pozbierać nie zdoła, i nigdy one nie zazielenięją. Pieśń usiłowała wydostać się z chaty, i pustem polem lecieć za listkami...



SINĄ KSIĄŻECZKA.

Ten Anton, co wykrzykuje na tłóce pijany, zawsze był nieszczęśliwym. Wszystko szło mu z rąk, a nic do rąk. Kupi bywało krowę, zginie, kupi świnie, zostawi mu się sierć tylko. Tak każdym razem.

Ale, gdy mu żona umarła, później dwaj synowie, Anton rozpił się. Pił, a pił, a pił: przepił ogród, teraz chatę sprzedał. Sprzedał chatę, wziął sobie od wójta siną książeczkę i idzie w świat szukać służby.

Siedzi pijany i wymienia, aby wieś słyszała komu sprzedał pole, komu ogród, a komu chatę.

— Sprzedałem i basta! Nie moje i cóż! Nie mo-o-je! Ej, gdyby dziadek mój wstał z grobu! Mospanie, miał cztery woły jak ślimaki, dwadzieścia cztery morgi pola, chat na całe sioło! Wszystkiego miał podostatkiem. A wnuczek, patrzcie!

Pokazywał wieśniakom siną książeczkę.

— Oj, piję i jeszcze pić będę. Za swoje piję, nikt do mnie niema prawa. A on ci do mnie mówi: słuchaj, grunt przetrwonileś! Pieczętkę kładzie i łaje! E, nie takich ja wójtów widziałem.

— Aby ci tak lekko było umierać, jak mnie lekko!...

— Wychodzę z chaty, próg ucałowałem i idę. Nie moje: więc cóż robić? Pędź jak psa, od cudzej chaty! Można — proszę. Było moje, a teraz cudze. Wychodzę na podwórze, las szumi i mówi: słuchaj, Anton, wróć się do chaty, wróć się jeszcze!

Anton bije się w piersi pięściami, aż echo rozchodzi się siołem.

— Wiecie, taka ogarnęła mię tęsknica, że

nie mogłem wytrzymać! Wchodzę znowu do chaty. Posiedziałem, posiedziałem, i wychodzę, nie moje, co mam robić, kiedy nie moje...

— Oby wrogom moim tak lekko było konać, jak mnie swoją chatę porzucać!

— Wychodzę na podwórze, coś mnie jeszcze zatrzymuje. Zielony mech na chacie, trzeba by poszyć. Ej, nie ja cię będę, nieboże, poszywał. Kamień, — aby kamień, to pękły z żalu.

Anton bije po tem słowie o ziemię rękami jak o kamień.

— Siadłem na przyzbę. Jeszcze nieboszczka maściła, a jam woził glinę taczkami. Tylko się chcę podnieść, a przyzba nie puszcza, próbuję jeszcze — nie puszcza. Ah, jak mi żal, nie, nie żal mi, nie! A przecież... Siedzę i ryczę, niby kto pasy drze ze mnie. Ludzie się zglądają na pokutnika.

— Patrzcie, tam koło wrót pop miał przedmowę. Wszyscy płakali. Porządna, mówi, żona była, pracowita...

— Przewracajcie się w grobie, niebożęta, bom łajdak. Przepiłem wszystko, do nitki. I płó-

tno przepiłem, słyszysz, Maryno i ty Wasylku, i ty Jurku, teraz ojciec wasz żydom wodę będzie nosił w zgrzebnej koszuli.

Anton wskazuje na wójta chałupę.

— Ale wójtowa dobra kobiecina. Wyniosła mi chleba na drogę, aby wójt nie widział. Niech Bóg twe dzieci błogosławi, gdzie nogą tylko stąpią. Niech wam wszystkim lepiej Bóg daje, jak mnie...

Czego mam wysiadywać na cudzej przyzbie? Idę. Tylko się postąpiłem, a okna w płacz... Płakały, jak dzieci małe. Las coś szeptał, a one ronią łzę za łzą. Płakała za mną chata. Jak dziecko za matką — tak płakała.

— Połą obtarłem okna, aby nie płakały za mną, bo daremnie... I odszedłem.

— Oj, lekko, jak kamień gryść... Świat ściemniał mi zupełnie.

Anton zatoczył dookoła siebie koło.

— Mam jeszcze pieniądze i pić będę. Z naszymi się napiję i z nimi puszczę. Niechaj pamiętają, że wieś porzucałem.

— Patrzcie, w zanadrzu mam siną książeczkę. To moja chata, moje pole i mój ogród. Idę z nią w świat! Książeczka od cesarza. Wszędzie drzwi mam na ścieżaj otwarte. Wszędzie. I do pana i do żyda!...



KAMIENNY KRZYŻ.

Od kiedy we wsi znano Iwana Diducha, zawsze miał tylko jednego konia i mały wózek z dębowym dyszlem. Konia zaprzęgał po prawicy, siebie po lewicy; koń miał szleję rzemienną i naszelnik, na siebie wkładał małą szleję, plecioną ze sznurków. Naszelnika nie potrzebował.

Gdy wieźli z pola snopy, albo obornik w pole, występowały na koniu i na Iwanie żyły, zarówno wyprężały się pod górę na nich obu stronki, gdyby struny, i zarówno włóczyły się z góry. Pod górę szedł koń, jak po lodzie, a Iwanowi, jak gdyby pałką kto go uderzył po czole, nabrzmiewała na czole wielka żyła. Z góry wyglądał koń, jakby go powiesił na na-

szelniku za jaką wielką zbrodnię, lewa zaś ręka Iwana obwijala się siecią żył sinych, jak gdyby łańcuchem z sinej stali.

Gdy musieli z garba schodzić — biegli. Wtedy zostawiali za sobą ślady kół, kopyt i szerokich pięt Iwana. Przy drodze kołysały się zioła i baidyle, wyginały się na wsze strony za wozem i rzucały rosę na te ślady. Lecz czasem wśród największego rozpędu, począł Iwan na samym środku góry kuleć na nogę, i zatrzymywał konia. Wówczas siadywał przy drodze, brał nogę w ręce i ślinił, aby znaleźć to miejsce, gdzie się wbił bodiak.

— Kozikiem skrobaj tę nogę, nie śliną przemylwaj — mówił Iwan ze złością.

— Tatku Iwanie, a batogiem tego konia po lewicy, niechaj biegnie, skoro je owies... Ktoś, co przypadkowo spostrzegł Iwana, brał go na kawał; Iwan przyzwyczaił się już do podobnych żartów i spokojnie szukał za bodakiem. Gdy nie mógł go wydobyć, pięścią wbijał głębiej w nogę i wstając, mówił:

— Nie bój się, zgnijesz i sam wyleziesz ;
ja teraz nie mam czasu z tobą się bawić...

Iwana we wsi Przełamanym przeżywali.
W pasie miał wadę: chodził zgarbiony, jak
gdyby tułów dwa żelazne haki do nóg zginały.
Mówią, że wiatr go podwiał.

Wróciwszy z wojska do domu, nie zastał
on ani ojca, ani matki, jeno rozwaloną chałupę.
W spadku zostawił mu też ojciec kawał garba,
najgorszego i najwyżej położonego w całym siole.
Na tym garbie kobiety kopały piasek. Nikt na
nim nie orał, ani siał, i między żadnej na nim
nie było. Tylko jeden Iwan skopał swoją czę-
stkę i jął obsiewać. Obydwaj z koniem wozili
pod garb obornik, a na wierzchołek to już sam
Iwan wynosił go workiem. Czasami spadał z garba
jego donośny głos na dolne niwy:

— Ech-ech, słuchaj, jak rzucę tobą, to nitki
z ciebie żadnej nie zostanie, ale to-ci ciężar!

Ale nim nigdy nie rzucił, albowiem żał mu
było worka, i powoli spuszczał go z plec na
ziemię. A raz wieczorem opowiadał żonie i dzie-
ciom taką przygodę.

— Słońce smaży, ale co tam smaży, ogniem zieleje, a ja na kolanach wdrapuję się na wierzchołek, aż skóra mi z kolan odpada. Pot z każdego włoska się leje, aż w ustach mi słono, aż gorzko. Zaledwie wydostałem się na wierzchołek. A tu powionął na mnie wiaterek, ale taki ledziuski, że aż haj! A za minutkę, jak zacznie ci mnie kłuć w pasie, — myślałem, że zginę!

Od tej pory chodził Iwan zgięty w pasie i przezywano go Przełamanym.

Lubo garb go przełamał, plon dawał obfity. Iwan bił pale, bił koły, wynosił nań darninę i obkładał dookoła swą częśćką, aby deszcze jesienne i wiosenne nie splukiwały nawozu i nie zносиły go w dolinę. Całe życie spędził na tym garbie.

Im bardziej się starzał, tem trudniej mu było połamanemu schodzić z garba.

— Taki-ci psi garb, co na złamanie karku strąca w dolinę!

Nieraz, gdy zachodzące słońce zastało Iwana na garbie, niosło z garba cień jego daleko na niwy. Przez te niwy włóczył się cień Iwana, jak

gdyby jakiego olbrzyma w pasie zgiętego — wtedy Iwan wskazywał na cień swój palcem i mówił do garba:

— Oto, nieboże, w kabłąk mnie zgiąłeś! Ale póki mnie nogi noszą, musisz rodzić zboże! Nie będziesz jadł słońca i wody pił za darmo!

Na innych niwach, które Iwan kupił sobie za pieniądze, przeniesione z wojska, pracowali synowie i żona. Iwan lubił najbardziej krzątać się koło garba.

Jeszcze stąd znali we wsi Iwana, że do cerkwi chodził tylko na wielkanoc i, że ćwiczył kury. Te tak wyuczył, że żadna nie śmiała jawnie się na podwórzu i parpać w oborniku. Która raz jeno drapnęła łapką, niechybnie zginąć musiała od rydła, albo kija. Chociażby go żona, Bóg wie, jak błagała, nic nie pomogło.

I to chyba dodać należy, że Iwan nigdy nie jadał przy stole, tylko na ławie.

— Byłem najmitem, a potem służyłem dziesięć lat w wojsku; przez cały ten czas nie widziałem stołu i, przyznam się, nie smakuje mi przy stole.

Takim był Iwan.

II.

W chacie Iwana pełna chałupa gości: gospodarze i gospodynie. Iwan wszystko sprzedał, co jeno miał. Synowie z żonami postanowili wyjechać do Kanady, i on się na to zgodził.

Iwan zaprosił do siebie całe sioło.

Stał przed gośćmi, w prawej ręce trzymał kieliszek gorzałki, i pono kamieniał, bo słowa nie mógł przemówić:

— Dzięki wam serdeczne, gospodarze i gospodynie, żeście uważali mnie za gospodarza, a moją za gospodynię.

Nie kończył i nie pił do nikogo, tylko patrzył tępo naprzód siebie i kiwał głową, jakby pacierz mówił i każdemu słowu przytakiwał.

Czasem, gdy fala wyrzuci z wody kamień wielki, i na brzeg go położy, leży on na brzegu ciężki i nieruchomy. Słońce łuszczy z niego namuł i maluje na nim maleńkie, fosforyczne gwiazdki. Kamień błyszczy martwym blaskiem, odbitym od wschodu i zachodu słońca i patrzy kamiennymi swojemi oczyma na żywą

wodę i smuci się, że nie gniecie go ciężar wody, co gniótł go przed wieki. Z brzegu patrzy na wodę, jak na utracone szczęście.

Jak ten kamień na wodę—tak patrzył Iwan na ludzi. Potem wstrząsnął siwym włosem, gdyby grzywą, zrobioną z nitek stalowych, i mówił:

— Dziękuję wam pięknie, i niech Bóg wam da, czego tylko sobie życzycie. Daj wam Boże zdrowia, kumie Michale...

Dawał Michałowi kieliszek i całował się z nim w ramiona.

— Kumie Iwanie, daj wam Boże przeżyć jeszcze na tym świecie i niech Bóg miłościw szczęśliwie was wiedzie na przeznaczone miejsce i dopomoże swą łaską znowu zostać gospodarzem!

— Daj Boże... Gospodarze, a proszę, a dolejcie jeszcze... Myślałem, że was za stół posadzę, jak przyjdziecie na syna wesele, ale się inaczej złożyło. Taki dzisiaj świat: czego dziadkowie nasi i ojcowie nie wiedzieli, my musimy wiedzieć. Boża wola! Częstujcie się, gospodarze, a za resztę wybaczcie.

Wziął kieliszek wódki i podszedł do kobiet, które siedziały na drugim rogu stołu od pościeli.

— Kumo, Tomaszowo, chcę się do was napić. Patrę na was i, jak jakiś mówił, przypominają mi się młode lata. Gdzie, gdzie-e? Ej, była z was dziewczucha, była! Nie jedną nocy przez was nie spałem. Tańcowaliście, kumo, tak gładko! Kumo, gdzie te roki? Przypomnijcie sobie i wybaczenie, że na stare lata o tańcu wspomniałem. Proszę...

Spojrzał na żonę, co między kobietami siedziała, i płakała. Wyjął z zanadru chusteczkę.

— Stara, masz płacinę, i obetrzej się ładnie, abym tu nie patrzył na żadne szlochy. Pilnuj mi gości, a płakać dość masz czasu, jeszcze się napłacziesz aż ci oczy wyciekną.

Poszedł do gospodarzy i kręcił głową.

— Cośbym powiedział, ale obraży szanuję w izbie i was grzecznych. Niedaj Boże nikomu zejść na rozum kobiecy! Patrzcie, widzicie, jak płacze, za kim, za mną? Za mną, przyjaciółko moja? To ja cię na starość wypędzam z chaty?

Milcz, nie szlochaj mi, bo ci siwe włosy oberwę i pójdiesz do Hameryki, jak żydowica.

— Kumie Iwanie, a zostawcie waszą żonę, wszak ani wam, ani dzieciom waszym nie jest wrogiem, i jej żal za domem i za siołem.

— Tomaszowo, jak nie rozumiecie, to nie gadajcie! Jej tęskno, a ja na wysoki tam idę?!

Zgrzytnął zębami jak żarnami, pogroził żonę pięścią i bił się w piersi.

— Weźcie i wbijcie mi siekierę tu w pieczonki, może zółć mi pęknie, bo nie wytrzymam! Ludzie, tak mi tęskno, tak mi tęskno, że nie wiem, co się ze mną dzieje!

III.

— A proszę, gospodarze, a bierzcie bez ceremonii i wybaczcie, bo my już w drodze. I mnie staremu nie dziwujcie się, że trochę krzyczę na żonę, ale to nie za darmo, och, nie za darmo. Tego przenigdyby nie było, gdyby nie ona z synami. Synowie, uważacie, piśmienni, skoro do rąk dostali jakieś pismo i jakąś mapę, tak po-

deszli starą i piłowali, piłowali, aż przepiłowali. Przez dwa roky o niczem w chacie nie słyszeliście, jeno o Kanadzie. A gdy mnie przycisnęli do muru, gdy widziałem, że zarówno na stare lata gryźć będę, gdy nie pójdę, sprzedałem wszystko. Synowie nie chcą po mojej śmierci być najmitami i mówią: Ty nasz ojciec, zaprowadź nas do ziemi, i daj nam chleba, bo jak nas podzielisz, nie będzie żyć z czego. Niech im Bóg pomaga chleba ten jeść, a mnie zarówno ginać. Ale, gospodarze, jak mnie staremu wybierać się w taką drogę? Ja zrobek — kości strupieszwały: zanim je rano zbierzesz do kupy, dziesięć razy jękniesz!

— To już, Iwanie przepadło, nie rozpaczajcie. A może wskażecie nam drogę i my wszyscy za wami pójdziemy. Za naszą ziemią niema czego płakać! Ziemia nasza nie jest zdolną żywić tyle ludzi i znieść tyle nędzy. Chłop nie może, ona nie może, oboje już nie mogą. I szarańcza niema i pszenicy niema. A podatki rosną, wpierw płaciło się reńskiego, teraz pięć, jadłeś słoninę, teraz kartofle. Oj, złupili nas, tak nas

w swe ręce chwycili, że z rąk tych, chyba nikt już się wymknie, tylko zmykaj! Ale kiedyś będzie piekło na tej ziemi, bo naród pomorduje się! Nie macie za czem płakać!...

— Dziękuję wam za słowo, ale go nie przyjmuję. Pewnie, że się naród pomorduje. Ale czyż nie gniewa się Bóg na tych, co ziemią handlują? Teraz ziemia nic warta, tylko weksle i banki. Teraz młodzi gospodarze mądrzy, za ziemią nie płaczą. A patrzcie-no na te skrzypce stare i te uczynić przedmiotem handlu?! Wszak to wierzba spróchniała, kiwnij palcem i już jej niema! Myślicie, że znajdzie na miejsce? Ot, przewróci się i psy ją rozszarpia, a nas popędzą dalej i popatrzeć się nie pozwolą. I Bóg ma błogosławić takie dziatki? Stara, a chodź-no tutaj!

Przyszła Iwanicha stara i suchutka.

— Katarzyno, co ty sobie, niebogo, myślisz? Gdzie cię w grób położę? Czy ryba ma cię zjeść? Ale co, porządnej rybie niema cię co na ząb wziąć. Patrzcie!

I naciągał skórę na ręce swej żony i pokazywał ludziom.

— Tylko skóra i kości. Komu to, gospodarze, piec porzucić? Byłaś porządną gospodynią, ciężko pracowałaś, nie byłaś marnotrawczynią, ale na starość wybierać się w tak daleką drogę? Patrz, widzisz, gdzie droga twoja, gdzie twoja Kanada? Tam!

I pokazał jej przez okno cmentarz.

— Chciałaś Kanady: więc pójdziemy świątami i rozsypiemy się na starość, jak liście po polu. Bóg wie, co się z nami stanie... ja wobec ludzi proszę cię o przebaczenie. Może rzucą cię w morze tak, że cię widzieć nie będę, a może mnie rzucą, tak że ty mnie nie będziesz widziała, przebacz mi, stara, żem ci nieraz dokuczył, żem cię może kiedy skrzywdził, przebacz mi po pierwszy, po drugi raz i trzeci raz.

Całowali się. Stara upadła na ręce Iwanowi, a on mówił:

— A to cię, niebogo, wiozę do dalekiej mogiły.. Ale słów tych już nikt nie słyszał, bo od kobiecego stołu nadbiegł płacz jak wiatr, co powiał z pośród mieczy ostrych i na pierś skłonił wszystkie chłopskie głowy.

IV.

— A teraz idź sobie, stara, między gospodynie i pilnuj, aby każda miała swoje, napij się też i ty, abym choć raz w życiu widział cię pijaną.

— A do was, gospodarze, mam dwie prośby. Kiedy synowie moi napiszą do wsi, że my starzy pomarli, prosiłbym was, abyście za nas najęli służbę Bożą i abyście tak, jak dziś się zeszli i zmówili za nas pacierz. Może Bóg zapomni nam nasze grzechy. Pieniądze zostawię Jakóbowi, bo on młody i uczciwy człowiek, i przechowa grosz nanaszki.*)

— Najmiemy, najmiemy i pacierz zmówimy...

Iwan grzebał w myślach. Na twarzy wstyd się przebijał.

— Wy staremu nie dziwujcie się i nie śmiejcie się z niego. Mnie samemu wstyd wam mówić, ale zda się, grzech miałbym, gdybym wam tego nie powiedział. Wszak wiecie, że sobie na

*) Ojciec chrzestny.

swoim garbie krzyż postawiłem. Gorzko wiozłem go i gorzkom na wierzchołek taszczył ale przecie tam umieściłem. Tak jest ciężkim, że garb go z siebie nie zrzuci, musi go dźwigać, jak mnie dźwigał. Chciałem choć tyle pamiątki po sobie zostawić.

Z dłoni zrobił trąbkę i do ust przycisnął.

— Tak mi żal za tym garbem, jak dziecku za piersią. Na nim wiek swój spędziłem i okaleczałem. Gdybym mógł, za pazuchę bym go schował, i wziął w świat ze sobą. Żal mi za najmniejszą prószyną w siole, za najmniejszym dzieckiem, ale za tym garbem nigdy nie przestanę płakać.

Oczy zamigotały ogromnym żalem, a twarz zadrżała, jak czarna gleba drży pod słońcem.

— Tej nocy leżę w stodole i grzebię w myślach: Boże miłościw, co zawiniłem, że mnie pędzisz na wody dalekie. Całe życie gorzko pracowałem. Nieraz, jak tylko zmierzchno się, padam na niwkę i modlę się do Boga: Boże, nie pozbaw mię kawałka czarnego chleba, za-

wsze pracować będę, chyba bym nie mógł ruszyć ręką, albo nogą...

Potem ogarnął mnie szal: gryzłem ręce i targałem czuprynę, tarzałem się po słomie jak chudobina. A potem przystąpił do mnie szatan. Już nie pamiętam, jak było, dość, że znalazłem się z sznurem pod gruszą. Ale Bóg miłościwie, co robi. Przypomniałem sobie krzyż i szal minął. Ij, jak pobiegnę wam na garb! Za godzinę już siedziałem pod krzyżem. Posiedziałem i lżej mi się zrobiło.

— Patrzcie, stoję przed wami i mówię z wami, a garb nie wychodzi mi z myśli. Wciąż mi stoi przed oczyma. Wszystko zapomnę — jego nie zapomnę. Śpiewanki umiałem i na nim zapomniałem, siłę miałem i na nim utraciłem.

Jedna łza toczyła się po policzkach, jak perła po skale.

— Proszę was, gospodarze, gdy będziecie świątkowali świętą niedzielę, byście nie ominęli mego garba. Niech młodzieniaszek jaki skoczy i krzyż pokropi wodą święconą, bo wiecie, księdzu nie zechce się na wierchołek wdrapy-

wać. Proszę was bardzo, byście krzyża mego nie mijali. Będę Boga za was błagał na drugim świecie, tylko uczynicie zadość mej prośbie.

Wyglądał, jak gdyby chciał swemi dobrami, siwemi oczyma na wieki zakopać w sercach gości swą prośbę.

— Iwanie, kumie, porzućcie waszą tęsknicę. Wierzcie, będziemy was ciągle wspominali. Byliście porządnym człkiem, nikomu nic złego nie zrobiliście, nie przeoraliście cudzego, cudzego ziarnka nie ruszyliście, Oj, nie! Będą was ludzie wspominali i krzyża waszego nie miną w świętą niedzielę.

Tak Michał rozpędzał smutek Iwana.

V.

— To wszystko, panowie gospodarze, co miałem wam do powiedzenia, a teraz kto mię kocha, ten pić będzie ze mną. Słońce już za mogiłą, a wy jeszcze nie wypiliście ze mną czarki wódki. Pókim jeszcze w swojej chacie

i mam gości za stołem, pił będę z wami, a kto mnie kocha, ten ze mną.

Zaczęła się pijatyka, pijatyka, co chłopów przetwarza w dzieci. Niebawem pijany Iwan polecił muzykę sprowadzić, aby grała dla młodzieży, co załęgła całą oborę.

— Słuchajcie, macie tak tańczyć, aby ziemia dudniała, aby trawki na toku nie było!

W izbie wszyscy pili, wszyscy gadali, a nikt nie słuchał, gadali sami dla siebie, wszak trzeba było koniecznie coś gadać, chociażby na wiatr.

— Jakem go wypucował, to był wypucowany, który był czarnym, to jak srebrem posypał po czarnem, a który białym, to jak masłem śnieg posmarował. Konie były w ordynku, cesarz mógł siadać! Alem miał pieniądze, oj, miałem, miał...

— Niech się wśród pustyni znajdę, gdzie tylko ja będę i Bóg! Niech chodzę jak zwierzę dziki, tylko, obym nie widział ani żydów, ani panów, ani księży. Wtedy nazywałbym się panem! A ziemia ta niech się zapadnie, niech się i zaraz zapadnie. Po co? Bili i katowali naszych

ojców, do jarzem zaprzęgali, a nam kawałka chleba nie dadzą przełknąć... E, gdyby tak było, jak ja chcę...

— Jeszcze nie znalazł się taki, aby co z niego ściągnął za podatek, oj nie! Był Czech, był Niemiec, był Polak — nie wzięli. Ale gdy przyszedł Mazur, znalazł kożuszyne aż pod wiśnią. Mówię wam, Mazur bieda, oczy mu wypał i grzechu zań nie ma...

Dość było różnej gadaniny, ale rozsypywała się w różne strony, jak nadgniłe drzewa w starym lesie.

W szum, hałas, stękania i wesołość żałosną skrzypiec wrzynał się śpiew Iwana i starego Michała. To był śpiew, jaki nieraz słyszeć można na weselu, kiedy starzy chłopci dostaną humoru i zaczną śpiewać dawne śpiewki. Słowa pieśni przechodzą przez stare gardła z przeszkodami, jak gdyby im nie tylko na rękach, ale i w gardle mozoły ponarastały. Słowa tych śpiewanek idą, jak żółte liście, co niemi wiatr pędzi po zamarzłej ziemi, a one zatrzy-

mują się na każdej dolinie i drżą podartymi
brzegi, jak przed skonem.

Iwan i Michał śpiewali o młodych latach,
które ich dopędziły na cedrowym moście, a oni
nie chcieli do nich więcej się wracać, nawet
jako gości.

Gdy wyciągali jaką nutę w górę, ściskali
sobie dłonie, ale tak krzepko, że kości w rękach
trzeszczały, a gdy natrafili na jakie smętne miej-
sce, to nachylali się ku sobie, przyciskali czoło
do czoła i płakali. Chwyтали się za szyje, cał-
owali się, bili pięściami o piersi i stół, i takiej
tęsknicy dodawali sobie swoim zardzewiałym
głosem, że wreszcie jeden do drugiego słowa
innego nie mógł przemówić, jak: »Oj, Iwanku,
bracie, oj, Michajło, przyjacielu!«

VI.

— Ojcze, słyszycie, już czas na kolej, a wy
rozśpiewaliście się, jak za dobrych czasów.

Iwan wytrzeszczył oczy, ale tak dziwnie,
że syn pobladł i cofnął się wstecz. Wtedy Iwan

włożył głowę w dłonie i długo coś sobie przypominał. Wreszcie wstał od stołu, podszedł do żony i wziął ją za rękaw.

— Stara, haj, macierz, ajnz, zwaj i draj! Chodź, ubierz się po pańsku, bo idziemy panować.

Wyszli oboje.

Gdy z powrotem wchodzili do izby, cała izba głośno załkała. Jak gdyby się oberwała chmura płaczu, co zawisała nad siołem, jak gdyby ludzka nędza tamę przerwała — taki był płacz. Kobiety ręce załamały i tak splecione trzymały nad starą Iwanową, aby z góry co na nią nie upadło i jej nie rozmiądzżyło. A Michał trzymał Iwana za ramiona i wściekle trząsł nim i wrzeszczał jak opętany:

— Słuchaj, skoro jesteś gospodarzem, to zrzuć z siebie te sukmany, bo cię wypoliczkuję jak draba ostatniego!

Ale Iwan nie patrzył w tę stronę. Chwycił starą za szyję i puścił się w płasy.

— Poloneza mi graj, po pańsku, mam pieniądze!

Ludzie osłupieli, a Iwan trząsł żoną, jak gdyby nie myślał wypuścić jej z rąk żywą.

Wbiegli synowie i przemocą wynieśli oboje z izby.

Na oborze Iwan tańczył dalej poloneza, a Iwanicha trzymała się rękoma progu i mówiła :

— Oto, wyźłobiłam cię, oto wygryzłam cię temi nogami!

I wciąż pokazywała, jak głęboko próg wyźłobiła.

VII.

Cała wieś wyprowadzała Iwana. Płoty trzeszczały i padały. On szedł ze swoją starą, zgarbioną, w cągowem, siwem ubraniu i tańczył poloneza.

A gdy wszyscy zatrzymali się przed krzyżem, który Iwan postawił na garbie, trochę się ocucił i pokazywał krzyż swej starej.

— Widzisz, stara, nasz krzyżyk? Tam wyrżnięte jest i twoje imię. Nie bój się, jest i moje i twoje...



LIST.

W izbie było tak jasno, że Grzegorzowa widziała każdy palec Iwanka, gdy go przytykał do ściany.

Słońce spuszczało się na wierzch boru, rosnącego przed chatą na górze, i zostawiało na jego gałęziach wszystkie swe lśniące kamienie drogocenne, a bór sypał promienie przez okna chaty.

I dużo było tych promieni w izbie, bo baba widziała każdy palec Iwanka na ścianie.

— Słuchaj Iwanku, abym cię więcej nie widziała na ławie! Patrz, coś zrobił ze ściany. Po ziemi sobie biegaj.

Iwanko biegał od proga do stołu, woził na nitce kółko i mówił do baby:

— Nie bójcie się, ja już, dalibóg, nie będę. Koło baby siedziała za piecem maleńka Maryla z zaplecioną kóską, jak mysi ogonek.

Boże, Boże, jak ciasno na świecie, a przecież nadejdą święta i naród się weseli — rozmyśliwała baba.

Jagody zmarszczone, usta sine, suche ręce, siwy włos — taką była owa baba.

Wujek Wasyl idą do nas z Mikołą Sementowym, z tym co się w szkołach uczy.

— Uciekaj-że z ziemi, biegaj do baby za piec.

Do chaty wszedł Wasyl z szkolarzem.

— A wy, matuś, wigilią za piecem świętujecie? Winszuję wam szczęścia, zdrowia, byście długie lata jeszcze przeżyli — życzył syn matce i całował ją w ręce.

— Ej synku, gdzie mi tam wigilia w głowie. Ja, dziecińco, dnie oplakuję, i święto i dzień powszedni — mówiła baba i łzy zabłyszczwały jej w oczach.

— A ja przyniosłem od Fedora list, co wczoraj z poczty przyszedł. Semenów przeczyta.

— Ano, co pisze, zdrów, czy słabuje?

Wasył dobył z zanadru list, podał szkolarzowi, a ten jął czytać.

»Kochany mój bracie Wasylu i wy matko.

Pozdrawiam was i winszuję wesołych świąt. Zaśpiewałbym wam z kryminału kolędę, ale boję się, że wiatr zgubi moją kolędę w lesie i nie zanieśie pod wasze okna.«

Stara macierz oblała się łzami a Wasył milczał.

»Tu aresztanci jak-ci zakolędują, to aż się mur surowy rozsypuje i rdza z krat opada. Jak powiodą głosem, to aż dozorczy nadśluchują. Bo smutną i straszną jest kolęda w niewoli. Kiedyś-tu w nocy przypomniałem sobie dawne czasy. Jak będąc małym chłopakiem chodziłem kolędować, jak wy matuś prosili ojca, by mi pozwolili pójść po kolędzie, a potem jak chodziłem z parobkami ze skrzypcami po kolędzie. Bywało staniemy, gdyby las pod oknem. Kolędujemy, a skrzypce płaczą, jak dziecko. My

głośniej, a skrzypce jeszcze głośniej, i nigdyśmy nie mogli je przekołędować. Patrzcie, słyszę teraz jeszcze, jak te skrzypce płaczą, o, — płaczą!...»

— Oj, synu, synu, toś osierocił dzieci — szeptała baba.

»Ale godzinami, matko, to tak mi w tych murach strasznie, że nie mogę sam na łóżku leżeć i idę do drugiego, bo bym umarł. Jak przypomnę sobie Naścię, jak przypomnę sobie, że przezemnie poszła do grobu i dzieci osierociła, to krew mi się z serca toczy. A przez kraty widać gwiazdy. Patrzę na nie: która większa, wiedzie za sobą mniejsze. I zdaje mi się, że wielka — to Nastka, a małe — Marylka i Wasylko...«

— Oj, synu, nie rozpaczaj tak bardzo — krzyknęła baba, jak gdyby Fedor mówił do niej a nie pisał.

»I wciąż mi się przewiduje pogrzeb Naści. Idziecie wy, idą dzieci za domowiną, idą ludzie. A choregwiami wiatr igra i pyta się: a gdzie się podział mąż tej żony? A podarta chorągiew

wciąż mu odpowiada: w Stanisławowie, w kryminale!»

— Oj, замуrowali cię, synu, w niewoli — westchnęła baba.

»Pragnąłem nieprawdę wykarczować, a oni mnie z korzeniem wyrwali, żonę uśmiercili, a dzieci zostawili na bożą łaskę. Wasylu i wy matko dbajcie o moje dzieci. W sobotę zmyjcie im główki, a w niedzielę dajcie białą koszulinę. Aby one brudno nie chodziły, aby je nędza nie gryzła. A najbardziej, wy matusiu, uważajcie na Marylkę, aby ono maleńkie, koszuliny nie śliniło, i aby nie płakało, bo ślina w pierś się wżera. Wiecie, że jak sierota płacze, to wszyscy anieli płaczą...«

— Czeszę ja twoje dzieci co soboty i koszulinki im piorę co tygodnia i łyżę stare puszcza za wodą — mówiła baba.

»A ty bracie Wasylu, pilnuj mi chłopców. Nie pozwalaj im w worku po deszczu chodzić, ale im uszyj serdaczki. Naucz ich rozumu, jak ojciec, i nie ostaw pod płotem. Uczyń z nich gospodarzy i nakazuj, aby nie zapomnieli o swoim

tacie i mamie, bo ich ojciec nie był łajdakiem, jeno prawa swego strzegł...»

— Oj, Fedorze, nie puszczę-ci ja twoich chłopców pod cudze płoty, ale nauczę ich rozum, jak swoich rodzonych — mówił Wasyl.

»A ową niwę pod łanem zasiejcie pszenicą, bo to dobra niwa, niedawno żyźniona. I róbcie tak, aby dzieciom moim krzywdy nie było, bo pono, że stąd już nie zdążę wyjść. I napiszcie mi dokładnie, co się w domu dzieje!

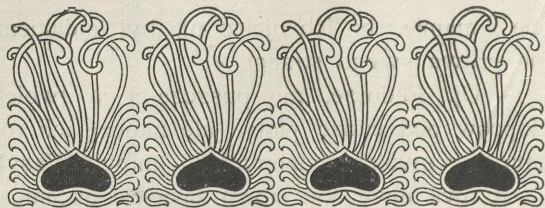
Kłaniam się tobie bracie, i wam matusiu, i wszystkim dzieciom moim —

Fedor.«

Baba rzewnie płakała, a oboje dzieci za nią.

— Na ci halerza, na, ale nie płacz. Słuchaj, co tatuś piszą, abyś słuchał baby, abyś nie swywolił.

Tak mówił Wasyl do Iwanka i dał mu nowego halerza.



ZŁODZIEJ.

Na środku izby stali dwaj tędzy, silni chłopci. Koszule na nich były podarte, a twarze pokrzwione.

— Nie myśl sobie, człowiecze, że cię z rąk puszczę...

Obaj dyszeli ze zmęczenia i z trudnością chwyтали powietrze. Opodal stała młoda kobieta oparta o łóżko, przełęczniona i zaspana.

— Nie stój, jeno idź do Michała i Maksyma, i powiedz, aby zaraz przyszli, bom złodzieja złapał.

Kobieta wyszła; oni zostali.

— Ten, gdyby trafił na słabego, to we własnej chacie pozbawiłby życia...

Przystąpił do ławy, chwycił kwartę z wodą i pił tak łakomo, że słychać było belkotanie tej wody w gardzieli. Potem obtarł twarz rękoma, i patrząc na niego, mówił:

— Nie trza do cyrulika iść, ten-ci dość krwi upuścił!

Ale jeszcze nie skończył, gdy tymczasem złodziej pięścią uderzył go między oczy.

— Ty bijesz, i ja będę, a kto lepiej?

Zawinął się bukowem, grubem polanem, i złodziej runął na ziemię. Z nóg trysnęła krew.

— Uciekaj teraz, jak możesz, ja ci nic nie powiem...

Milczeli długo. Słabo świecący się kaganiec nie mógł przedrzeć się przez ciemność, co po kątach się rozgościła; muchy jęły bzykać nieśmiało.

— Zatamuj krew sobie, człeczce, bo ci wszystka ubieży!

— Dajcie mi wody, gazdo.

— Dam ci wody, krzep się, bo nie wiesz, co cię czeka!

Długie milczenie.

— Silnyś, widzę, gazdo.

— Silny, nieboże, konia biorę na bary; źle trafiłeś na mnie.

— A naturę masz miękką?

— Ja miękki, ale złodzieja z rąk żywego nie puszczam!

— To mam tu ginąć?

— Albo ja wiem, czy ty twardy, czy miękki? Jak twardyś, to może wytrzymasz...

I znowu zapanowała cisza w niskiej izbie.

— Zatamuj sobie krew!

— Na co, aby bardziej bolało, jak będziesz bił. Krew to sam ból.

— Jak będę bił, to musi boleć, chyba wyzionąłbyś ducha.

— A Boga się nie boisz?

— A ty się bałeś, gdy do komory lałeś? Wszak tam znajdował się cały mój majątek. Gdybyś go był wyniósł, skaleczyłbyś mnie na

całe życie! A czemu ty nie leziesz do bogacza, jeno do biednego?

— Przepadło, niema co mówić! Bij i daj mi spokój!

Pewnie, że będę bił.

Na ziemi uczyniła się krwi kałuża.

— A ty, skoro masz sumienie, gazdo, to nie zabijaj po trochu, ale weź polano, grzmotnij tak jeszcze po głowie, jak po nogach i pozbędziesz się kłopotu, i mnie lżej będzie.

— Ty chciałbyś odrazu! Czekaj, bądź cierpliwym, niech się ludzie zejdą.

— Ty chcesz dobrym sąsiadom bał sprawić?

— Już idą.

.
— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki!

— U was, Grzegorzu, coś nowego?

— Już-ciż, przyszedł gość — trzeba go przyjąć.

Niema co mówić, pewnie, że trzeba.

Maksym i Michał zajęli sobą całą izbę a głowami dostawali powały.

— Siadajcie i wybaczcie, zem pozbawił was nocy.

— A on na ziemi?

— Tak.

— Chłop jak zwierz, dość mieliście trudu, zanim wciągnęliście go do chaty.

— Silny, ej, to-ci silny, lecz na silniejszego trafił! Ale zanim co będzie, za stół siadajcie i gościa proście!

Grzegorz wyszedł i za chwilę przyniósł butlę gorzałki, słoninę i chleb.

— Czemu nie bierzecie i jego za stół?

— Mówi, że wstać nie może.

— Ja mu pomogę.

Gazda wziął złodzieja pod rękę i posadził za stół.

— Mielicie, Grzegorzu, z nim już potyczkę w chacie?

— Chciał mnie zagłuszyć. Jak mię wyciął pięścią między oczy, to wam mówię, omal nie runąłem. Alem namacał polano, jak grzmotnę go po nóżkach, a on bęc na ziemię.

— Wy mu się nie dziwujcie, bo każdy chce się bronić.

— Przecież nic nie mówię.

Złodziej siedział za stołem blady, apatyczny, przy nim Maksym a dalej Michał. Koło pieca siedziała żona Grzegorza w kożuchu.

— Grzegorzu, co ty mu chcesz zrobić? Ludzie, opamiętajcie go, bo chce człeka zabić!

— Żono, zdaje mi się, że ty się go boisz, idź sobie tedy do mamy, przenocuj, a jutro przyjdiesz.

— Ja-ci się z chaty nie ustąpię!

— To pij gorzałkę z nami i nie jęcz, bo cię spiorę. Albo leż za piec i śpij, — co wolisz.

Ani ruszyła się już z pod pieca.

— Baba babą, Grzegorzu, boi się bójki jak żyd, nie dziwujcie się.

— E, co my będziemy na nią zważali. Daj Boże zdrowie! Człowiecze, ja do ciebie piję! Nie wiem kto za kogo grzech mieć będzie, czy ty za mnie, czy ja za ciebie? Ale grzech musi być, bez grzechu się nie obejdzie. No, pij.

— Nie chcę.

— Musisz pić, ja proszę! Gorzałka do sił cię przywiedzie, boś całkiem osłabł.

— Nie chcę z wami pić.

Wszyscy trzej gazdowie zwrócili się ku złodziejowi. Zawzięci. Czarne oczy wróżyły mu zgubę.

— Więc dawaj, będę pił, ale pięć kieliszków naraz.

— Pij, a gdy nam braknie, pošlemy.

Nalewał jeden kieliszek po drugim i wypił sześć. Potem pili Michał i Maksym. Zakąsывali i znowu pili.

Michał:

— Powiedz nam człeku, skąd się w naszym siole wziąłeś, czy ty z bliska, czy z daleka?

— Ja ze świata.

— A czy ty chłop, mieszczanin, czy pan? Bo stosownie do tego obejdziemy się z tobą. Chłopa to tak się bije: ze trzy razy daje się mu kłonicą po głowie, tyle razy po twarzy, — aby upadł. Bo chłop twardy, do niego trza się twardo brać, a gdy on już pod nogami, wówczas lekka z nim robota. A do pana bie-

rze się w inny sposób, kłonicy mu nie pokazuj, bo umrze zaraz, ale nastraszyć go biczyskiem. A trząść się będzie na całym ciele, daj mu w mordę dwa razy, ale także nie bardzo: pan już pod nogami! Pochodź trochę po nim, minutę, dwie, już gotów, żebra na chróst startę, bo to białutka kostka, jak papier. A żyda bierze się na pierwszy ogień za pejsy, on skacze, pluje, kurczy się, jak sprężyna. Ale ty się na to nie patrz, jeno załóż wielki palec między dwa małe i daj mu pod żebra kuksa. To lekka bójka, ale bardzo bolesna...

Gospodarze ciężko, tępo uśmiechali się, a Michał wystawił głowę z poza plec Maksyma i czekał, co mu złodziej rzeknie.

— Więc, do jakiej wiary przystajesz?

— To, gazdo, tak, że gdy pijecie gorzałkę, to mnie z rąk żywego w żaden sposób nie puścicie.

— Prawdę mówisz, dalibóg prawdę, lubię cię za to!

— A zanim mnie zabijecie, dajcie mi jeszcze

wódki, niech się napiję, abym nie wiedział kiedy i jak.

— Pij tedy, pij, ja nie bronię, ale po coś na mnie trafił, bodaj cię Bóg skarał! Słuchaj, ja twardy, kamienny, ciebie nikt z rąk moich nie wybawi.

Złodziej wypił jeszcze pięć kieliszków.

— Bijcie, ile chcecie, już gotów jestem.

— Czekaj, bracie, dobrze, że ty zadowolony, ale my jeszcze nie zadowoleni, ty wypieś pięć, a my po jednemu. Jak dopędzimy cię, zaczniemy mówić.

Michał patrzył bardzo wesoło, Maksym coś dumał, ale bał się myśł swą wyjawic, a Grzegorz był niespokojny.

— Zdaje mi się, ludzie, że będzie bieda, poszedłbym precz, ale coś mnie doń ciągnie, łańcuchami mnie ciągnie... Ha, cóż, pijmy i jedzmy zakąskę...

— Gazdo, dajcie, niech was w rękę pocałuję — mówił złodziej do Maksyma.

— O, człeczko, ty się widzę, bardzo boisz, a to nie przystoi!

— Dalibóg, że się was nie boję, dalibóg i sto razy przysięgnę, że się nie boję.

— A cóż?

— Mnie się teraz zrobiło lekko na duszy i dla tego chcę gazdę w rękę pocałować; on siwy człowiek, mógłby mi być ojcem...

— Człowieku, daj mi spokój, bo ja mam miękkie sumienie, ja nie chcę, ty sobie bądź bezemnie ..

— Ale dajcie-ż rękę, bo grzech mieć będziecie, chcę was pocałować, jak ojca rodzonego.

— Ja całkiem miękki, człeku, nie całuj mnie.

Michał i Grzegorz aż usta rozwarli i gorzałkę pić przestali. Najeżyli czuprynę i uszom swoim nie wierzyli.

— Puszczaj bańki, czego on chce? Ty, nieboże, próbujesz sposobu, e, my i na to uczeni!

Maksym wytrzeszczył oczy jak baran i nie wiedział, co się koło niego dzieje.

— Zmiarkował, że miękki, zaraz zmiarkował...

Mówił, by się usprawiedliwić przed Michałem i Grzegorzem.

— Dajcie, dajcie, gazdo rękę, ale ze szczerego serca, bo jak was pocałuję, to mi lżej będzie: widzę, że mi już nie chodzić po świecie i dlatego chciałbym przynajmniej was prosić o przebaczenie.

— Ty mnie nie całuj, bom całkiem zmięknął, ja ci bez tego przebaczam.

— Ale ja was bardzo proszę, bo inaczej ciężko będzie umierać, gdyż nikogo w rękę nie całowałem, niby tak serdecznie... Ja nie pijany, dalibóg, nie, to jest tylko takie moje życzenie.

— Cicho, słuchaj, nie podchodź tak z daleka, bo jak grzmotnę, ani drgniesz!

— Wy myślicie, że szklę, a ja, dalibóg, prawdę mówię. Widzicie, jak napiłem się gorzałki, to mi się we łbie rozjaśniło, że mam zginać i tego gazdę w rękę pocałować, aby mi Bóg zmniejszył grzechu. Dajcie rękę, gazdo, powiedzcie, niech da.

— Czego ten człowiek chce odemnie, kiedy mu nic nie poradzę, bom taki cikliwy, że nie zdolnym...

Maksym nie wiedział, gdzie się podziać, co z sobą począć. Wstydził się jak dziewczyna.

— Miękkiemu zawsze tak, zawsze on na pośmiechowisko ludzi wystawiony, taka-to już brzydka natura. Wszak wiecie, że skoro się tylko gorzałki trochę napiję — zaraz płaczę, wszak wiecie. Było mnie tutaj nie wołać, bo wiecie, żem jak przedziwo...

Złodziej chciał chwycić za rękę Maksyma, aby ucałować.

— Ten złodziej chce nas sztuką podejść. Idźcie, Maksymie, precz odeń, ustąpcie się!

— Dajcie, wódki, Grzegorz, pijmy po trzy, abyśmy już raz jadu dostali — mówił Michał.

— Nie idźcie, Maksymie, nie idźcie wujcui odemnie, bo umrę zaraz. Ja się nie boję, dalibóg, się nie boję, jeno tak coś trze mnie...

Począł drzeć na całym ciele, wargi trzęsły się jak żywe. Michał i Grzegorz pili gorzałkę i nie patrzyli się na niego.

— Czego się boisz, niema czego, dam ci rękę ucałować, dam ci już, choćby mnie mieli także bić, już dam, na, całuj, jak sobie tego życzysz...

Złodziej przylepnał do ręki, a Maksym mrużył oczyma, jakby go kto po twarzy bił.

— Nie warto być miękkim, bo miękki człowiek niezdolny do niczego...

Michał rozłożył palce u rąk i pokazywał Grzegorzowi.

— Słuchaj, słuchaj, tacyśmy silni, tacy łakomi na bójkę, tacy łakomi, gdzie złowimy, tam z mięsem rwiemy!

A Grzegorz nie mówił nic, jeno wciąż pluł w dłonie i nalewał gorzałki.

— Dosyć już, nieboże, dość, puść niech sobie pójdę, bo tu niema Boga, a na to się patrzeć nie mogę. Wyciągnij ręce z pazuchy, nie obłapuj, nie, puść, bo mi taki wstyd, że się nie wiem, gdzie podziać!

— Jeszcze chcę obraz całować, jeszcze próg chcę, chcę wszystkich, wszystkich, kto jest na świecie — wołał złodziej.

Żona skoczyła z zapiecka i uciekła, Michał wyszedł z za stołu ciemny i pijany jak noc, Grzegorz stał i grzebał w pamięci, co ma robić.

— Maksymie, wy mi się wynoście z chaty,

abym was tutaj nie widział, bo was jak wróbla ubiję, nu-że zabierajcie się.

— Pójdę, Grzegorzu, nic wam nie powiem, ale się nie gniewajcie, wiecie przecież, że jestem miękki człowiek. Widzi mi się, że grzech mieć będziecie, idę sobie...

— Idźcie, idźcie, bo wy nie chłop, jeno baba cikliwa!

— Wszak mówię, że nie do tego, ja...

Maksym podniósł się i wyszedł z za stołu.

— Bądźcie zdrowi i nie banujcie, bo wam mówię, że nie do tego...

Jeden złodziej pozostał za stołem, blady trochę, ale wesoły.

— A ty wyjdiesz sam z za stołu, czy cię trza stąd wyprowadzić?

— Nie wyjdę, widzi mi się, nie wyjdę, bo mam tutaj pod obrazami siedzieć.

— Oj, wyjdiesz, dalibóg, wyjdiesz, będziem prosić!

I rzucili się na niego, gdyby wilki głodne.



OJCIEC.

Kolej pędziła światami. W kącie na ławce siedział chłop i płakał. By łyzy ukryć, zakrył twarz kolorową chustką. Łzy padały, jak deszcz. Jak deszcz ulewny, co nagle puści się i wkrótce przestanie.

Twardy takt kolejowy uderzał o chłopską duszę jak młotem.

— I jeszcze śnił mi się niedawno: Gdzieś czerpię wodę z krynicy, patrzę, a on na samym dnie w podartej kożuszynie... Już, już ma utonąć. Mikołó, synu — mówię do niego — co tu robisz? A on na to:

— Ojcze, nie wytrzymam w wojsku dłużej.

— Mówię mu: bądź cierpliwym, ucz się

i czysto chodź koło siebie. I patrz, już się wyuczył...

Jedna wielka łza potoczyła się po jagodach starca i upadła na ziemię.

— Jadę do niego, a wiem, że go już nie zastanę. Ale, czy będzie się choć do kogo wrócić? Biegła za mną polem, łzami krwawemi błagała, by ją wziąć ze sobą. Nogi jej od śniegu posiniały, wrzeszczała jak opętana. Alem konie uderzył biczyskiem i umknął. Może na polu już domarza...

Było wziąć starą. I czegoż nam dziś potrzeba? Niechaj toczą się pieniądze, niechaj chudoba ginie z głodu! Takim trupom, jak nam, na co? Niech stara uszyje torby i pójdziemy na żebry do tego miasta, gdzie będzie Mikoła nasz leżał.

Przyłożył czoło do szyby. Łzy spływały po oknie.

— Och, stara, doczekaliśmy się wianka na siwe włosy. To, niebogo, gdzieś tłuczesz o mur głową, to płaczesz...

Stary łkał jak dziecko małe. Płacz i kolej

podrzucały siwą głową, jak arbuzem. Łzy płynęły, jak woda ze źródła. Chłop przesłyszał głos swojej starej, jak biegnie za nim boso, i błaga, by ją wziął ze sobą. Ale on konie biczem, biczem... Tylko jęk roznosi się po polu daleko...

— Pewnikiem już jej nie zastanę. Oby mnie zakopali razem z Mikołą. Niechbym choć gnił z nim, skoro razem żyć nie możemy. Niech pies nie zaszczeka za nami na obczyźnie, ale niech byśmy, choć razem byli! Gdzież on sam będzie leżał na obczyźnie!

Kolej pędziła światami.

— A szkoda, boś mi urósł, gdyby dąb. Bywało, co do rąk weźmie, gore mu w tych rękach. Było mu uciąć jedną, gdy był jeszcze niemowlęciem...

Kolej zbliżała się ku miastu.

Wychodził z ludźmi. Na ulicy sam się został. Mury, mury, a między murami ulice, a przy ulicach palą się latarnie. Światło tonie w ciemności, drży. Już, już runie i uczyni się czarne piekło.

Ale światło rozpuściło korzenie w ciemności i nie runęło.

— Och, Mikoło, bym cię choć umarłym zobaczył. Już i mnie, synku, będzie tu amen!

Usiadł pod murem. Chustkę położył na kolana. Łzy nie padały już na nią. Mury zbliżały się ku sobie, światła spływały w jedną masę i mieniały się od barw, jak tęcza. Zewsząd okolono chłopą, aby go dobrze oglądnąć, bo zawędrował tu ze stron bardzo dalekich. Deszcz zaczął kropić. Jeszcze więcej się skulił i począł modlić się.

— Matko Chrystusowa, opiekunko ludzi, święty Mikołaju... i bił się w piersi.

Nadszedł policyant i wskazał mu kasarnię.

— Panie wojak, a tu umarł Mikołaj Czarny?

— Powiesił się za miastem w olszynie. Leży w kostnicy. Idźcie tą uliczką na dół a tam już ktoś wam wskaże.

Żołnierz wartował dalej. Chłop leżał na ulicy i jęczał. Gdy odpoczął, zszedł w dół uliczką. Nogi drżały i potykały się.

— Synku, synku, i tyś odebrał sobie życie!

Powiedz mi, synku, co cię skłoniło do tego czynu? Pocóż straciłeś duszę? Och, przywiozę starej nowinę. Marnie zginiemy.

W kostnicy na dużej białej płycie leżał Mikoła. Piękne kędziory pływały we krwi. Górna część głowy odpadła, jak łupa. Na brzuchu leżał krzyż, bo na krzyż krajali i pozszywali.

Ojciec ukląkł u stóp Mikoły i modlił się. Całował nogi syna, bił głową o płytę.

— Och, dziecino, łagodziliśmy dla cię z matką wesele, najmywaliśmy muzykę, a tyś od nas odszedł?

Potem podniósł trupa, objął za szyję i pytał się, jak gdyby się go radził:

— Powiedz mi, ile mszy zamówić, ile rozdać między ubogich, by Bóg nie pamiętał ci grzechu...

Łzy padały na trupa i na zimną płytę marmurową. Ze łzami w oczach staruszek ubierał syna. Ubrał go w białą wyszywaną koszulę, podpasał czerwonym pasem, na głowę włożył kapelusz z pawimi piórkami. Chustkę kolorową

położył pod głowę, u wezgłowia postawił świecę,
aby gorzała za duszę straconą.

Taki piękny, dziarski młodzian z pawiem
piórkami! Leżał na zimnej marmurowej płycie
i niby uśmiechał się do swego taty...



ANIOŁ.

Stara Tomkowa grzała się na przyźbie w słońcu. Mimo wrót chodzili ludzie, ale nikt z babą nie zagadał. »Niech będzie pochwalony« — »Na wieki«. Tyle rozmowy.

— Starego tylko weź i zakopaj! Szkoda łyżki strawy, co zje i miejsca, co wyleży na piecu. Wszystkim na zawadzie, nikt nie przemówi doń słowa dobrego. Nie warto staremu żyć na świecie!...

Przypomniła sobie słowa starego Tomka.

— To, stara, tak jest, że moja głowa na przodzie, a twoja zaraz za moją. A jak mojej nie stanie, to twoja nic nie warta. Tylko niech

mnie dzisiaj pogrzebią, a jutro ty już żadna gospodyni. W chałupie własnej jak komornica będziesz...

— Ej, stary, stary, toś mię zostawił, jakbyś mi od ślubu uciekł. Gamoń byłeś, to prawda, wszystko dałeś z sobą robić, ale zawsze przez ciebie byłam gospodynią. Oj, byłam...

Smutno było Tomkowej, lubo słońce jak matka rodzona rozgrzewała jej stare kości.

— Ty myślisz, stary, że cię tu wspominają? Jakby nie ja, toby pies nie zaszczekał za tobą. Och, dzisiaj są-ci dzieci, że aż w piętach stygnie! Ale głupiś, dalibóg, głupi! Trzeba było ponabierać banków i weksłów, jeść dobrze, popijać, żyć jak pan. A to ciułałiśmy oboje, jajka na jajecznicę żalowali, a dzisiaj nikt nawet objedni nie sprawi.

Tomkowa dłońmi zakryła twarz i niby szeptała do swego Tomka:

— Gdybyś, matulu, wytrzęsła ostatni grosz z kieszeni, byłaby objednia. Ale jak nie będziesz mogła się podźwignąć, to giń na kartoflach!

Może kupiłyby-ci dzieci jabłuszko, albo bułeczkę?
Tylebyś jadła!

Wstała z przyżby i poszła do kur zaglądnąć.

— U starego, dalibóg, rozum jak u dziecka. Naplotłam tyle, że się wstydzę słońca bożego! Oni, biedacy, mają przecież swoje działki i dbać o nie muszą. A ty, stara, milcz i dychaj. Niedaremnie to ktoś wymyślał, że stary ma rozum dziecięcy...

Po tych słowach Tomkowa weszła do obszernej izby. Otworzyła swoją skrzynię i wybierała przyodziewek. Przeglądała, czy co nie spleśniało, albo czy się mole nie wkradły.

— Wszystko jeszcze z naszego dorobku, nitki niema dziecięcej. Wszystkom na śmierć sobie przygotowała. Jak stary umarł, tylko desek na domowinę kupiłam. Ej, gdzie, żeby mnie tak ładnie pogrzebali. Ludzi było i dla ludzi dać co było. Pogrzebałam cię, stary, jak gazdę! Nikt nie pisał, abym ci czego żałowała.

Wyjęła buty czerwone.

Raz jedyny ubierane. Nieboszczyk był jeszcze przed śmiercią na jarmarku i kupił. Na-ci,

mówi, Nastko, abyś na śmierć miała, kto wie, jak cię będą dzieciśka szanowały? Zawsze lepiej mieć własne. Abyś miała porządny but na nodze, bo kto wie, kto wprzód umrze, ja, czy ty!

Baba się rozrzewniła.

— Nie bójcie się, dzieci, ja wam kosztów nie przysporzę, jeszcze wam zostawię. Stary o mnie pamiętał. Tylko nie dajcie umrzeć babie bez gromnicy. Bóg jeden wie, jak mordowałam się nocami koło starego, i przecież nie skonał bez gromnicy.

Na spodzie skrzyni znalazła baba węzelek z pieniędzmi. Wzięła w ręce, siadła na ziemi i poczęła liczyć.

Oj, dzieci, dzieci, nabawiłam się was, napiastowała! Bywało wracam z miasta duchem, a ciągle mi na myśli, co tam dzieciśka same robią w chałupie? Dobiegam do lasu, patrzę wysypało się maleństwo, ledwie po ziemi się toczy. Mnie aż podnosi, aby prędeż do domu, a ono mnie wstrzymuje, muszę usiąść i rozdać gościńce. Pozabierają i w nogi! Tylko

nieboszczka Hanusia szła za mną, a tamte urwipolcie jak wiatr poleciały...

Oblicze starej wypogodziło się i złagodniało. Spojrzała na obrazy. Na jednym był namalowany nagi anioł. W tłustych rękach trzymał dwie róże czerwone.

— Oj, nagusie, zawsze się ze starej baby śmiejesz. A jakże, baba się zestarzała, a tyś zawsze młodziutki, zawsze izbę babie rozweselasz. Oj, dziecinko Boża, minęły lata, jakby batogiem trzasnął!

Baba oparła się o ziemię obiema rękoma i przypominała sobie dawne czasy.

— Pono jeszcze Grześka nie było na świecie, kiedym go kupiła. Jakiś panisko porozwieszał-ci był na podsieniu tyle obrazów, żeby na furę nie zabrał. Ludzi zebrała się kupa jak na jarmarku. Był-ci tam taki straszny zwierz namalowany, że ci się nie śnił nawet. Jacyś straszni królowie moskiewscy i tureccy i Bóg wie, co jeszcze. Pomiedzy obrazami był także ten aniołek i kupiłam go. Tak się przyjaźnie patrzył, tak każdemu róże nadstawiał, tylko

bierz. Gdzie, gdzie, to już masa lat upłynęło od tego czasu...

— W zimowe wieczory bywało narobię gołąbków z papieru. Główki im pozłocę, skrzydełka pośrebrzę i jak ubiorę go w te gołąbki, to niby się bawi z nimi.

Tomkowa, rozpamiętując, zapomniała liczyć pieniądze. Trzymała je w garści, a myślami odbiegła daleko.

— Oj, rozłączymy się, niebogo, mnie już dawno nie stanie, a ty będziesz wciąż izbę weselił. Choć tyle śladu będzie po babie, że żyła...



MAJ.

Daniel czekał koło białej bramy, zakradał się do pańskiego ogrodu jak złodziej i nie mógł odważyć się wejść do niego.

— Czy ja wiem, czy wejść można, a nuż wybiegnie kto i da mi w twarz, a skąd wiem, że nie da?

W pańskim ogrodzie wiły się białutkie, różnolotne ścieżki, które tylko można było zajść do dworu. A Daniel obawiał się właśnie, czy za przejście po nich nie obiją go. Tymczasem — czekał koło bramy.

Wszyscy chłopcy umieją czekać długo i cierpliwie. Jeśli pan jest w kancelaryi, stojąc czekają. Żeby ich nie wiedzieć ilu było, nie dają

oznaki życia. Stoją cichutko, twarze ich bałwanieją, a wyraz z oblicza zesuwa się gdzieś na plecy pod koszulę. Stojąc napół senni, są nieprzytomni i niezmiernie obojętni, a urzędnik wygląda między nimi jak czarna muszka, co załazła w gęsty miód. Temu na kraju, najbliższemu do urzędniczego stołu, jest najgorzej, bo nie może się zdrzemnąć. Co chwila rozwiera szeroko oczy i rozgląda się niespokojnie. Zanim przecierają oczy i rozglądają się sąsiedzi. Podobnie jak wiatr niepokoi kłoski od miedzy do miedzy, tak niepokój pierwszego udziela się ostatniemu.

Jeśli niema pana w kancelaryi — siadają sobie. Dobrze bodaj pół godzinki odpocząć. Kupią się tedy i przysiadują sobie swoje członki. Każdy jednak trzyma ostrożnie w rękach kapelusza, by nie zemnąć go. Jak dobrze się skupią, wówczas poczynają do siebie mówić szeptem:

— Ano, jakby człek zakurzył sobie lulkę?

— Ostawcie.

— A tiutiuń macie kupowany?

— U mnie rośnie w ogrodzie.

— Nie mówcie, bo jeszcze kto posłyszysz, to...

Wtedy wszyscy zapychają ręce za pazuchę i zasuwiają swoje kapczuki z przodu pazuchy za plecy, bo anuż jaka bieda przeszuka! Szepty ucichają, twarze drzewieją, ślina z ust się sączy, a głowy w dół opadają. A jak znajdzie się między nimi jaki niecierpliwy, to tak, jak ów skrajny nie daje spokoju na podłodze siedzącym towarzyszom. Bo albo ręka mu zacierpnie, albo stworzonko ugryzie go w grzbiet, dość, że nie może wytrzymać i porusza się. Za nim ruszają się sąsiedzi i harmonia wzajemnego nacisku przepada. Poczyna się układanie nóg i rąk na nowo i znowu jakaś bieda rujnuje tę harmonię.

— Boże, tacy jacyś niecierpliwi ludzie — powie któryś wytrzymały i zaraz zamyka oczy.

Tak wszyscy czekają oni i tak czekał Daniel koło bramy, lubo był sam jeden. Jego opadła senność i obojętność i mieszały się myśli jego. Gdy szedł do pana, miał całkiem jasny plan. Zobaczywszy go, miał kapelusz zdjąć z głowy i iść do niego tak, jak bocian wśród mgły, ostrożnie, powoli, aby nie uraził pańskiego ka-

myczka. Jak przybliży się już dobrze, ma wytrzeszczyć oczy na pana i patrzeć się tak, aby pomyślał sobie pan: to jakiś bardzo biedny! Potem uchwyci rękę, pocałuje ją z obu stron, dotknie się czołem dłoni i trochę cofnie się wstecz. Opuści ramiona w dół, kapelusz rzuci poza siebie. Obetrze rękawami usta i zacznie mówić.

— Przyszedłem służby szukać u pana. Przednowek bardzo przykry, dzieci mam czworo a na nie jeno łątka ogrodu. Muszę nająć się do służby, robotę znam każdą, bom zarobnik. Proszę bożej i pańskiej łaski, byśmy się pogodzili, i żeby mi pan zaraz dali korzec ornaryi, by było co dać żonie i dzieciom, a do służby mogę stanąć i dzisiaj.

Pierwsze słowo pana będzie:

— Tyś pewnie złodziej?

— Ja, panie, nie ruszałem jeszcze żdźbła cudzego.

— Nie kłam, łajdaku, przecież nie możliwe, aby chłop nie kradł?! Chybaś nie chłopem?

— Jam prosty chłop, ale nie lubię ruszać cudzego.

— Toś pewnie pijak?

— Nie piję gorzałki, bo nie mam skąd.

— Szczekasz jak pies, ty byś umarł bez gorzałki!

— Bez gorzałki człek nie umarłby, ale bez chleba można.

— Oj, mądrał z ciebie, pewnie byłeś w kryminale i tam nauczili cię rozumu.

— Niech Pan Bóg broni! Przeżyłem pół wieku, i jeszcze noga moja nie była w kryminale.

— A pocóż tyle napłodziłeś dzieci?

— To Bóg, panie, daje dzieci.

— To ksiądz ciebie tak nauczył?

— Do księdza nie chodzę, bo to kosztuje pieniądze, i do cerkwi nie chodzę, bo nie mam czasu.

— Toś radykał i nie dajesz księdzu zdzierać z siebie skóry!

— Choćbym chciał co księdzu dać, nie dam,

bo nie mam, a on, choćby chciał zedrzeć, nie zedrze, bo nie ma co. Nie schodzimy się.

Wiedział naprzód, że pan musi chłopa zmieszać z błotem, że musi sobie nadrzeć z niego i że dopiero potem przyjmuje na służbę. Szedł więc pewien siebie, ale koło bramy stracił tę pewność.

Dwór był w drugiej wsi i dlatego Daniel nie wiedział, kędy zachodzi się do niego. A że stał wśród pola, nie było kogo się spytać. I Daniel czekał. Jego jasny plan zaciemniał się. Skrobał się w potylicę i nieśmiało zaglądał do ogrodu.

— Pewnikiem temi ścieżkami chadzają państwo na spacer, bo patrzaj, jak wysypano je piaskiem.

Jego oczy błdziły, aż zatrzymały się na pawiu, co błyszczał na płocie.

— Z tego ogona miałby człek grosz jakiś, aby tak zabiec, zamotać w nim obie ręce... Nie wiedzieć, czy mięso z niego dobre?

Rozglądał się po chatach.

— Ten dość ma tego zboża i umie koło niego chodzić. Ba, gdzie on to wszystko podziewa?

Myśli jego rozpierzchały się na wsze strony.

— Ach, jaka piękna wiosna, jaka piękna!

Następnie nie czynił już żadnych spostrzeżeń. Siedział jak słup i czuł, że na sen mu się zbiera. Aby się mu oprzeć, rozwierał oczy, tarł twarz ręką i wyglądał jak nieszczęśliwy zapaśnik, co zdaje się na łaskę i niełaskę swego przeciwnika. Za chwilę oparł się o bramę i poznać było, że chciał tak się urządzić, aby i spać i czekać. Więc przeciągnął się i przymknął oczy. Zaledwie się zdrzemnął — coś szepnęło mu do ucha:

— Śpij, śpij pod pańską bramą, woźnica takie ci sprawi baty, że aż posoka popłyniesz!

Zerwał się przestraszony, rozglądnął się dookoła i stanął jak wryty. Stał tak sekundę, potem kiwnął ręką i odszedł od bramy na łąkę. Zalaźł w trawę i położył się. Śnił mu się pan i jego ręce i białe ścieżki. Pan mówił do niego, aby włożył kapelusz na głowę, ale on nie chciał.

— Proszę pana, jam nędzarz, nie śmiem wło-

żyć na głowę kapelusza, ja taki biedny, taki biedny...

Słodki sen napędził mu te widzenia i on spał spokojnie.

Słońce śmiało się nad nim, przesyłało mu swe promienie, pieściło go jak matka rodzona. Kwiaty całowały jego czarne nieczesane włosy, polne koniki skakały po nim. I spał spokojnie, a czarne nogi i czarne ręce wyglądały, jak gdyby przyprawione były do jego ceglastego ciała.



SZARA GODZINA.

Nie mógł usiedzieć: coś pędzało go od ściany do ściany. Chodził tylko wciąż po izbie. Meble i kąty zacierały się i ginęły w zmroku wieczornym. Grzebał we wspomnieniach z lat dawnych.

— To owa chwila, w której dzieci małe wybiegają z izby na łąkę i bawią się wesoło i zwawo. O tej porze dziewczęta nie chcą pędzić bydła do domu, bo mówią, że gdy zorza wieczorna wychodzi na niebo, to głos się na rosie ściele, i śpiewają, aby głos się słał. A w ziemi, matki kądziel przędą i śpiewają swe pannieńskie piosenki, ale tak smutnie, jak gdyby tęskniły za laty młodei. A dzieci kupią się, szepcą za piecem i zasypiają bez wieczerzy. Dziwną jest szara godzina.

Chodził i tarł ręką czoło, jakby w czaszce chciał zamknąć wszystkie myśli, aby mu się nie wymknęły, bo pragnął gorąco je sobie przypomnieć.

— Ciekaw jestem, co też on porabia? Takim był szczerym przyjacielem. Pamiętam dobrze, jak raz siedziałem u niego w ogrodzie. Mówił, zda się, wtedy o białych chmurkach. Biała chmurka, mówi, ze złotymi brzegami przesuwają się po niebie, gubi białe lilie, i idzie dalej, i sieje, sieje mnogo tego kwiecica po sinem niebie — a za godzinę nie masz ani chmurki, ani lilij. Tylko błękitne niebo marszczy się, jak błękitne morze. Prawda, czegoś wtedy się smucił...

Chodził. Oczy łagodniały mu jak u dziecka.

— Ach, już zapomniałem ciąg dalszy. Zapominam pieśni matczyne! A do niedawna je pamiętałem. Zaraz. Pędzałem z Marylą owce w pole, na łąkę. Maryła wyszywała sobie rękawy w fasolki. Fasolki wyszywała na czerwono, ogonki na sino, a wolną między fasolkami przesterzeń obrzucała czarną włóczką. Musiałem owce zawracać, bo Maryła starszą była. Jedna sre-

brzysta owca była niesforna. Żadnej grzędzie nie darowała. Zrzuciłem krajkę z siebie i spętaliśmy ją. Był spokój. Biegałem nieopasany popod wierzbami, gwizdałem i hałasowałem na całe pole. Potem Maryla mnie jeść zawołała. Jedliśmy chleb i ser z listka...

Usiadł na fotelu. Wspomnienia z lat dzieciństwa gnały go, jak sen, na kwieciste jakieś łąki. Mnogo kwiatów, ziela, tylko rwać, rwać...

— Potem macierz przyszła do nas. Wracała z pola, bo nosiła jeść robotnikom. Dała nam mleka i oglądała rękawy Maryli. Upominała Marylę, aby nigdy nie brała po trzy nitki, tylko po dwie poza igłą, bo fasolki będą brzuchowate. A mnie mówiła, abym nie staczał się z góry, bo podrę koszulinę, albo sobie brzuch pokaleczę. »Nie swywoł, chłopcze, nieopasany, jak koń po polu, ale siedź sobie koło Maryli i owiec pilnuj!« A ja sobie leżałem koło matuli i biłem nogami o trawę, a matula mówiła: »Czy nie możesz chwilki cicho posiedzieć?« Wtem zleciał bocian i chodził koło nas. Matka wzięła mię na kolana i poczęła śpiewać:

Oj, bocianie, nie koś siana,
bo się zrosisz po kolana.
Tylko niech ta czapla kosi,
co na bakier czapkę nosi.

Pogrążył się w myślach, aby przypomnieć sobie dalszy ciąg pieśni, i nie mógł! Oczy mu posmutniały.

— Zaraz, zaraz. Matka poszła do domu, a ja biegłem do wieczora za bocianem i śpiewał: »Oj, bocianie, nie koś siana...«

Rozpędział się, jak chłopak, co chce rów przeskoczyć i zawsze nad samym jego brzegiem się zatrzymuje. Pierwsze słowa pieśni wygłaszał głośno, ale dalszego ciągu nie zdołał sobie przypomnieć. Westchnął. Czarna obwódka koło oczu jeszcze bardziej poczerniała.

— Mój Boże, nie mogę uchwycić wątku tej nici, co się urwała! Urwała się już wtedy, kiedy matka myła mi nogi i wydzierała czyste onuce ze starej koszuli, a ojciec buciki czyścił. Płakaliśmy wszyscy wówczas, bo wyprawiali mnie w świat na naukę. I chodziłem po świecie, i głądałem się, jak łożyna, dla kawałka chleba, i czułem na sobie setki ócz dumnych.

Ruszył ręką, jakby chcąc odpędzić od siebie te dumne oczy.

— Po latach przyjechałem w odwiedziny do matki. Ojciec już nie żył. Macierz zgarbiona z kosturem w ręku siedziała na przyźbie i grzała się w słońcu. Nie poznała mnie. Potem witała się ze mną. »Nasza, synku, Maryla zgasła. Nie pisałam ci o tem, byś się nie martwił. Umierając, ciągle się wypytywała o ciebie. Durzyliśmy ją, że nadjedziesz. I jeszcze tego dnia, kiedy umarła, mówiła, że chciałaby ujrzeć cię bodaj przez okno, bodaj przez próg idącego. I umarła.« Tak się ta nić urwała.

Nieświadomie powtarzał pieśń matczyną: »Oj, bocianie, nie koś siana...« Tak z dziesięć razy powtórzył.

Poszli z matką na cmentarz. Macierz ledwie doszła. »Patrz, synku, oto grób Maryli. Już posadziłam rutę i barwinek, i krzyż pomalować dałam, ale wisienki jeszcze nie posadziłam, aż w jesieni posadzę«. Usiedliśmy koło grobu. Matka opowiadała mi o biednej Maryli. Mąż zły, dzieci drobne, bieda w chacie. Wiatr zdmuchiwał

z wisien białe kwiecie. Kwiecie padało na grób
i na nas. Zdawało się, że kwiecie zrasta się
z białym włosem matczynym i że rosa z kwiecia
spada na matczyne jagody. Przypomniałem so-
bie wówczas, jak pasalem owce z Marylą...

Łzy gorące stoczyły się na stół. Wstał
i podszedł do okna. Było już ciemno.

— Potem macierz umarła. Grób jej niedaleko
grobu Maryli. Kwiat z wisienki matczynej pada
na grób Maryli, a z Maryli na grób matki. Raz
tam byłem. Siedziałem między tymi grobami
i przypominałem sobie pieśń matczyną. Tylko
nie mogę przypomnieć sobie dalszego jej ciągu.
Posiedziałem trochę i poszedłem z grobu. Tylko
kwiecie wiśniowe z grobów leciało za mną, jak
gdyby tem kwieciem siostra i matka prosiły,
bym nie odchodził...

Jeszcze długo chodził po izbie i szeptał nie-
świadomie:

Oj, bocianie, nie koś siana,
bo się zrosisz po kolana.
Tylko niech ta czapla kosi,
co na bakier czapkę nosi — — —

Spis rzeczy.

Spowiedź	5
Sama samiuteńka	11
W rekruty	15
Dziadek	19
Skon	23
Podpalacz	28
Kasia	56
Basarabowie	65
Sen	83
Klonowe liście	87
Sina książeczka	104
Kamienny krzyż	109
List	130
Złodziej	136
Ojciec	150
Anioł	156
Maj	162
Szara godzina	170

Wydawnictwa Hslegarni Polskiej we Lwowie.

Kipling R. Druga księga Dżungli K. 4'—

Lejkin N. W gościnie u Turków. Humory-
styczny opis podróży do Konstanty-
nopola K. 4:50.

Maeterlinck M. Skarb pokornych K. 1:60.

Nowaczyński A. N. Małpie zwierciadło. Sa-
tyry K. 5'—

— Siedm dramatów jedno-aktowych.

Orkan Wł. Skapany świat K. 1:20.

— Z tej smutnej ziemi K. 2'—

Poe A. E. Morderstwo na rue Morgue i inne
nowele K. 3'—.

**Przewodnik artystyczno-informacyjny po Rzy-
mie z planem miasta K. 3'—.**



H-99 251

Wydawnictwa Księgarni Polskiej we Lwowie.

Przewodnik artystyczno-informacyjny po Wenecji z planem miasta K. 3.—.

Przybyszewski St. Na tym padole płaczu K. 2.—.

— Goście, epilog dramatyczny K. —80.

— Po złote runo K. 1:40.

— Dla szczęścia K. 2.—.

— Matka K. 1:50.

— Synowie ziemi.

Zapolska G. Fin-de-siècle-istka K. 4.—.

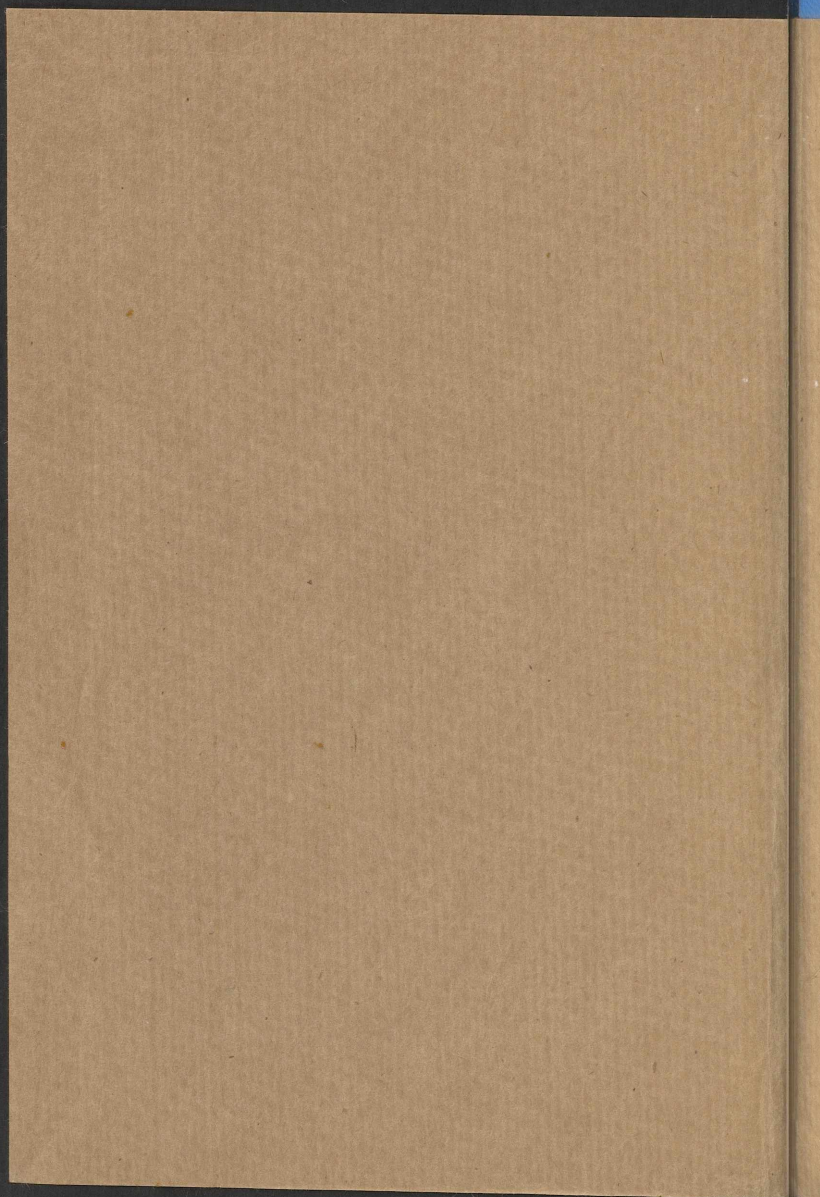
— Jak tęcza K. 4.—.

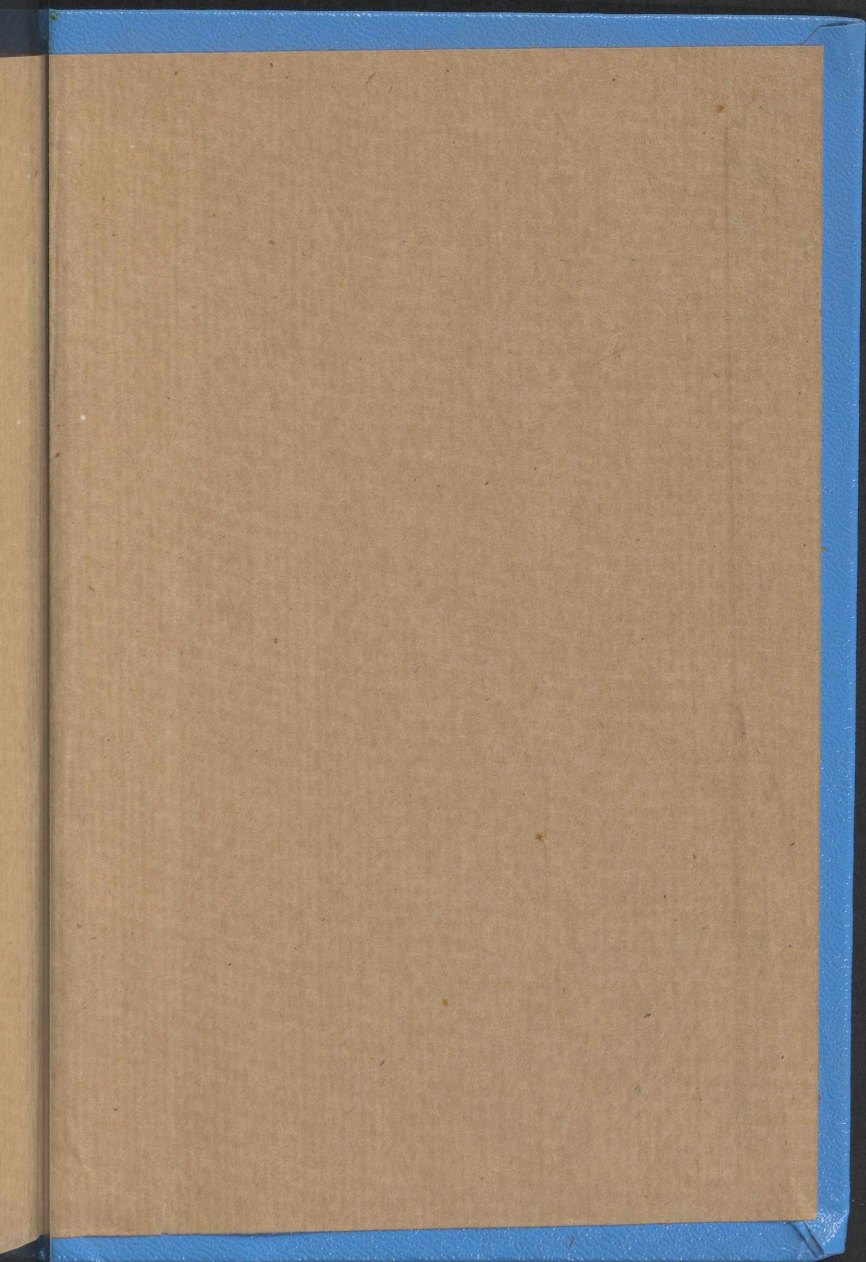


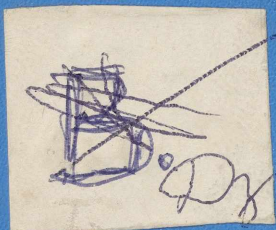
B.



Drukarnia Narodowa w Krakowie.







I.
И-99251